

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Deszczowa wędrówka do Chatki Górzystów	<i>Krzysztof Gdula</i>	3
Mikołaj przy sudeckim uskoku brzeźnym	<i>Bartosz Skowroński</i>	6
Granicznymi szlakami	<i>Jacek Gmaj</i>	8

OJCZYSTE SZLAKI

Pszczoly, barcie, bartnicy, turyści... ..	<i>Tomasz Kowalik</i>	12
Łąka ma swoje muzeum nad Odrą	<i>Tomasz Kowalik</i>	14
Wodospad na „Żółtej Rzece”	<i>Juliusz Wystouch</i>	15
Płynąć w poprzek – to też sztuka	<i>Tomasz Kowalik</i>	16

XXI Spotkanie Śladowe Czytelników i Sympatyków

„Na Szlaku” (XXI Spotkanie Narciarzy Śladowych)	<i>Juliusz Wystouch</i>	19
---	-------------------------------	----

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Trochę zimy jesienią	<i>Juliusz Wystouch</i>	20
----------------------------	-------------------------------	----

GLOBTROTER

Zamek Uhrovec	<i>Miroslaw J. Barański</i>	22
---------------------	-----------------------------------	----

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Bogda i Mietek zapraszają w Kotlinę Kamiennogórską	<i>Sławomir Chojnacki</i>	25
Obchody wiktorii roku 1920	<i>Krzysztof Tęcza</i>	28
Ząb Daidarabo na Giewoncie	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	31

CYTAT MIESIĄCA	<i>Juliusz Wystouch</i>	33
----------------------	-------------------------------	----

U KRESU WĘDRÓWKI

Przemysław Wiater (1958-2020)	<i>Krzysztof Tęcza</i>	34
-------------------------------------	------------------------------	----

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Jan Kozyriewski	<i>Janusz Fuksa</i>	36
-----------------------	---------------------------	----

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Beskidy bez śmigłowca	<i>Juliusz Wystouch</i>	38
-----------------------------	-------------------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

„Królowa. Lhotse ‘89”	<i>Katarzyna Ziolo</i>	39
-----------------------------	------------------------------	----

**Na okładce: Jarmark Bożonarodzeniowy (na zdjęciu z 2019 r.) na wrocławskim Rynku
nie odbędzie się niestety w zaplanowanym terminie**

Fot. Pianoforte Agencja Artystyczna – www.jarmarkbozonarodzeniowy.com

Deszczowa wędrówka do Chatki Górzystów

Od długiego czasu chciałem poznać Halę Izerską i być w Chatce Górzystów, miejscach tak chwalonych przez miłośników Gór Izerskich, a mnie, przyznaję ze wstydem, dotychczas nieznanych.

Poprzedni dzień spędziłem z kolegą w Górach Kamiennych, a inicjatywa poznania nazajutrz Izery (i posmakowania naleśników) pojawiła się nagle, pod wieczór. Pojechaliśmy właściwie bez przygotowań, jedynie po ustaleniu trasy dojścia i powrotu, ale przecież wiadomo, że za pierwszą bytnością w nowym miejscu nigdy się nie zdąży być wszędzie i wszystko zobaczyć. Wrócę przy najbliższej okazji, ponieważ Hala Izerska i Izera bardzo mi się spodobały, ale może po kolei.

Na parkingu w Jakuszycach byliśmy o tej szarej godzinie przemiany nocy w chmurny dzień jesienny. Szutrowy parking, krzywe ogrodzenie, budowlany bałagan obok, hotel wyglądający na opuszczony, pusta szosa i czarne ściany lasów wokół. Przygnębiające wrażenie.

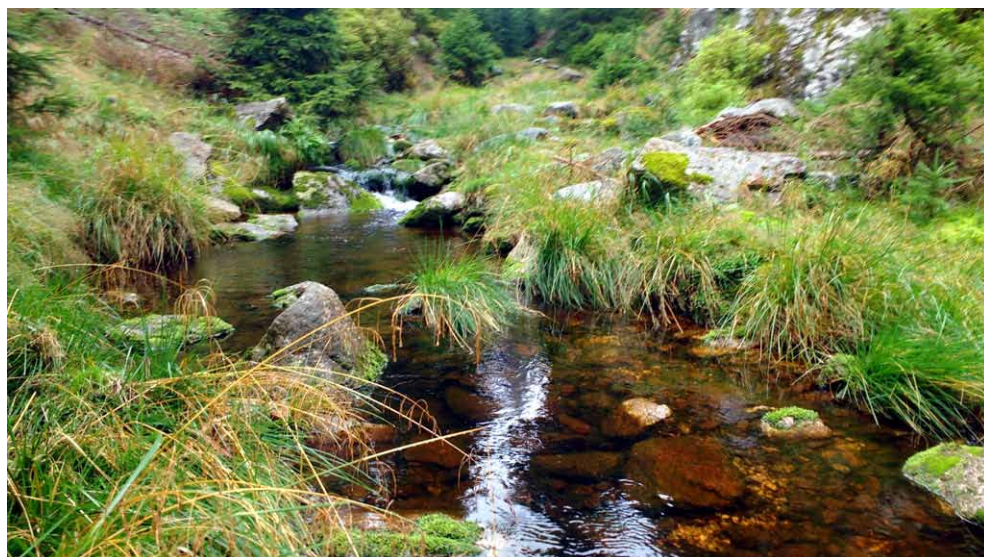
Znikło, gdy po tradycyjnym szukaniu początku szlaku weszliśmy między drzewa świerkowego boru.

Góry Izerskie znane są z szutrowych dróg ciągnących się kilometrami przez lasy, niemal bez widoków, ale dzisiejszy dwudziestokilometrowy marsz nie dłużył się. Lasy zawsze mi się podobały, a izerskie, chociaż nierzadko ciemne, gęste i nieprzystępne, przyciągają wzrok swoim charakterem lasów górskich, a przy tym nierzadko rosną na mokradłach.

Wielka w nich ilość strumieni i strumyków, a są dzikie, ukryte wśród kamieni i roślinności, prędkie, nerwowe, głośnie. Są miejsca jasne, zapraszające na spacer czy grzybobranie, ale są też tak niedostępne, że zatrzymywałem się i patrzyłem na zwaliska drzew i skał, na wykroty podeszłe wodą lub zakryte paprociami i grubymi dywanami różnorodnych mchów, wyobrażając sobie trud przedzierania się tamtędy. Spotyka się odkryte polany z rudziejącymi trawami, a kępy sitowia i mnóstwo cieków spływających brązowymi wodami do przydrożnego rowu każą domyślać się torfowisk – kolejnej cechy charakterystycznej tych gór. Wszak torfowiska kojarzą się raczej z dolinami,



Izera



Jagnięcy Potok

jak nad Biebrzą, a nie górskimi stokami wznoszącymi się setki metrów nad poziomem morza. Zatrzymaliśmy się pod zadaszeniem przy dukcie. Zdjąłem plecak i zrobiwszy ledwie dwa kroki w bok, w wysoką trawę, wpadłem po kostki w wodę. A przecież ostatnie dni nie były deszczowe. To świat roślin i wody, który człowiek wielkim nakładem pracy poprzecinał swoimi drogami, by wywozić jego bogactwa.

Na odcinku kilku kilometrów szlaku, między budynkami Orlej a Halą Izerską, na poboczu drogi leżą kamienie z tabliczkami podającymi nazwy planet Układu Słonecznego i ich astrologicznymi symbolami. Odległości między nimi odzwierciedlają rzeczywistość. Kamień wyznaczający Słońce jest przy budynkach, niewiele dalej leżą kamienie planet wewnętrznych – Merkurego, Wenus i Ziemi – przy czym na jednym kamieniu zmieszczono symbol naszej planety i Księżyca. Dodam od siebie, że nasz satelita okrąży nas w odległości około 380 tysięcy kilometrów. Na kamieniu dzieli je może 30 centymetrów. Kilka kilometrów dalej, blisko Chatki Górzystów, leży kamień wyznaczający odległość Neptuna, a kamień z Plutonem, ostatnią planetą Układu, znaleźć można jeszcze dalej, kawał drogi za Chatką.

Warto tutaj zaznaczyć, że w ten poglądowy sposób pokazano najbliższych naszych sąsiadów. Najbliższych, zaznaczam. Rozmiary Kosmosu są właściwie niewyobrażalne dla nas.

Kiedy wychodziliśmy na szlak, deszcz ledwie mżył, niezdecydowany, więc i ja nie zdecydowałem się założyć peleryny. Z nią zawsze mam problem, ponieważ kiedy w końcu uznaję, że pora wyciągnąć ją z plecaka, wiatrówkę mam już mokrą, a przykryta peleryną mokrą zostaje do końca. Tak było i dzisiaj.

Kiedy zbliżaliśmy się do Hali Izerskiej, deszcz padał już obficie, co widać i na zdjęciach rzeki. Na dobre ustał dopiero na godzinę przed naszym powrotem do Jakuszyca. Jeszcze pół godziny zwlekałem ze zdjęciem peleryny, nieufny, pamiętając zabawę deszczu ze mną sprzed kilku godzin, kiedy to ponownie zaczynał padać, widząc mnie w samej wiatrówce.

Chwilę wyjścia z lasu i zobaczenia Izery będę pamiętał. Nie wiem, jak w innych miejscach swojego biegu, ale tam, na Hali Izerskiej, ta rzeka jest po prostu piękna. Kamienista, jak przystało górskiej rzece, czysta, nieustannie meandrująca. Ta sama przecież, ale często zmieniająca swój wygląd. Jest w niej magiczny urok przyciągający wzrok. Urok wspomagany otoczeniem przypominającym daleką północ, szczególnie widocznym dzisiaj, w chmurny, zamglony, deszczowy dzień jesieni. Niewątpliwie i w słońcu Izera wygląda ładnie, ale dzisiaj uznałem, że listopadowa aura nie zaszkodziła jej urodzie, a nawet dodała nostalgiczną nutę do jej cech.

Wcześniej, oglądając mapę, ułożyłem plan przejścia brzegiem rzeki aż w pobliże schroniska, ale z powodu deszczu zrezygnowałem. Trawy są tam wysokie, oczywiście były zmoczone, a w takich warunkach każde obuwie, poza kaloszami, przemoknie dość szybko.



Deszczowa Hala Izerska



Na Hali Izerskiej

Rude trawy, mnogość mchów, samotne świerki otulone zielonymi gałęziami aż do ziemi, w kilku miejscach spore kępy kosodrzewiny (niech mnie ktoś poprawi, jeśli się mylę), po raz pierwszy w życiu widziane brzozy karłowate, mieszkanki dalekiej Północy żyjące tutaj chyba przez pomyłkę, rozległość polany, surrealistycznie wyglądająca na tym pustkowiu wstążka asfaltu kończąca się przy strumieniu, fundamenty domów ludzi, którzy kiedyś tutaj żyli, na zboczach gór wokół niemal czarne świerkowe bory, a w szarym powietrzu nostalgia.



Potok na Hali Izerskiej

Oto mój obraz Hali Izerskiej, północnej krainy w południowej części Polski.

W Chatce Górzystów nie byliśmy jedynymi gośćmi, chociaż tłoku nie było. Oczywiście zamówiliśmy naleśniki z jagodami. Teraz wiem, że ich sława jest zasłużona, mimo słusznej uwagi kolegi o nieco zbyt słodkim serze.

Wracaliśmy drogą wiodącą wokół Jagnięcego Jaru. Te formacje geologiczne zawsze są ładne, jar Jagnięcego Potoku szczególnie. Jest głęboki, zarośnięty, kamienisty i ma bardzo strome zbocza. Prawdziwie górski jar, a utworzył go nieduży strumień płynący dnem. Zadziwia dysproporcja rozmiarów jaru i strumyka, każąc domyślać się ogromu czasu potrzebnego do wypłukania rowu głębokości kilkunastu metrów. Jest przynajmniej jedno miejsce, gdzie bezpiecznie można zejść na dno, a warto dla poczucia pierwotności, autentycznej dzikości jaru i strumienia.

Wybierając się w góry, liczyłem na znalezienie chociaż kilku grzybów i w tym się nie zawiodłem, jednak często okazywało się, że okazałe grzyby wcześniej znajdowały robaki. Na całej długości dzisiejszej naszej trasy widywaliśmy pocięte i wyrzucone prawdziwki, nierzadko naprawdę duże. Znalazłem chyba największego w moim życiu, odkładałem chwilę jego wycięcia, fotografowałem, oceniałem średnicę, a na koniec, po wahaniami, z autentycznym bólem w okolicy serca, wyrzuciłem. Po jednego, na szczęście zdrowego, wspinałem się po stromym zboczu jaru, wbijając kanty butów w luźny żwir. Wróciłem cały ze zdobyczą, by w chwilę później popełnić karygodny błąd, stając na oślizłym i pochyłym kamieniu. Karę odebrałem natychmiast, ale na szczęście przed bólem tylnej części ciała uchronił mnie plecak.

Przywiozłem tylko kilka, ale sporych grzybów; pokrojone w plastry i nawleczone na nitki, suszą się w pokoju. Będą do bigosu.

Krzysztof Gdula

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Mikołaj przy sudeckim uskoku brzeżnym

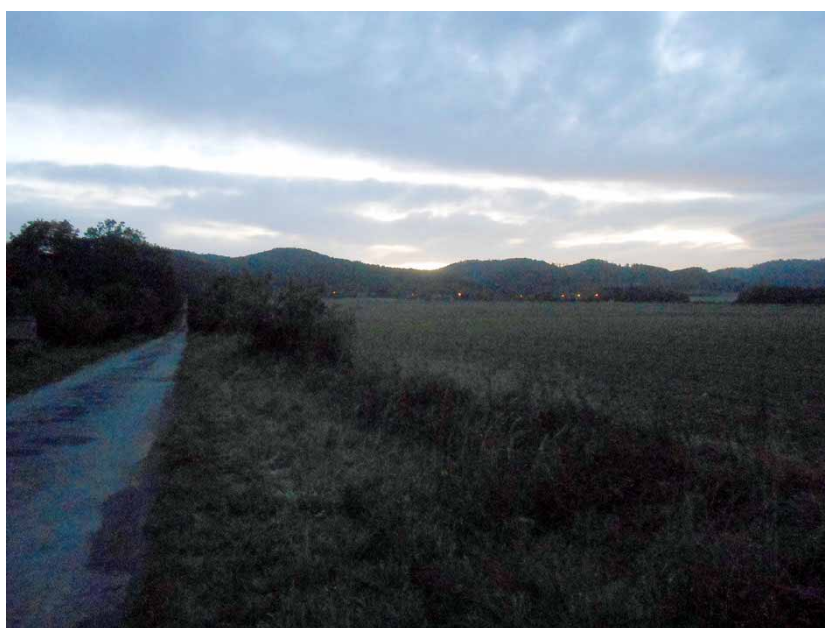
Na dzień 6 grudnia oczekuje z utęsknieniem każdego roku wiele osób, szczególnie dzieci. Przyczyna tego jest chyba oczywista – to właśnie wtedy, w dzień św. Mikołaja, sporo osób liczy na prezenty. Rokrocznie w grudniu pełno jest też – tu i tam – figurek, obrazków i innych twórców wyobrażających postać wspomnianego świętego.

Na pograniczu Gór Bardzkich i Wzgórz Niemczańsko-Strzelińskich, a tym samym na granicy Sudetów i Przedgórza Sudeckiego, w rejonie tytułowego sudeckiego uskoku brzeżnego zobaczyć można – i to nie tylko w grudniu – kilka tabliczek z wizerunkiem nawiązującym do postaci Mikołaja. Ponadto znajduje się tam nawet figura św. Mikołaja. Gdzie konkretnie? W... Mikołajowie – przepięknie położonej wsi, która swoimi początkami sięga średniowiecza, dokładniej prawdopodobnie XIII w. W średniowieczu właśnie, przez pewien czas, określana miała ona być m.in. jako Nicolai villa. Nietrudno więc domyślić się pochodzenia jej obecnej polskiej nazwy. Gwoli ścisłości nie jest to oczywiście jedyny Mikołajów w Polsce, ale za to jedyny na pograniczu Gór Bardzkich i Wzgórz Niemczańsko-Strzelińskich.

Tabliczki z Mikołajem i figura wspomnianego świętego stojąca w centralnej części tej wsi to nie jedyne w niej akcenty, które mogą przywołać na myśl skojarzenia z 6 grudnia. W centrum miejscowości znajduje się też m.in. kilka tabliczek informacyjnych, wśród których można zobaczyć i tę zawierającą napis „*Labirynt św. Mikołaja*”. To nadal jeszcze nie wszystkie akcenty i fakty nawiązujące do wspomnianego świętego w Mikołajowie. Poczytać da się jednak o tym gdzie indziej.

Wśród wspomnianych tabliczek informacyjnych można zobaczyć również i tę zawierającą napis „*Kościół pw. św. Jana Nepomucena z 1853 r.*”. Chodzi o miejscową, niewielką świątynię. Warto ją z zewnątrz obejrzeć. Znajduje się ona praktycznie w centralnej części tej niewielkiej, gdy chodzi o liczbę mieszkańców, miejscowości i bardzo ładnie wpisuje się w jej krajobraz.

A gdy już o krajobrazie mowa, cóż dodać – jest tu pięknie! Ale nie ma się czemu dziwić – w końcu wieś leży na wspomnianym pograniczu. Zbocza poszczególnych gór w obrębie Gór Bardzkich są gdzieś tam – także i w tym rejonie – miejscami strome. Widać to nawet podczas przebywania w okolicy wspomnianej figury. Dolina dość bystro płynącego potoku, wymieniony kościół i inne zabudowania Mikołajowa, a w pewnym miejscu nagle wyrastające nad nieco pochyły teren strome zbocze Łysej (488 m n.p.m.). Nie da się ukryć, że choć wysokością góra ta nie imponuje, to zbocza ma strome. U jej podnóża, tych na Przedgórzu Sudeckim, teren jest natomiast dość płaski. Na takim prawie płaskim terenie położone są również dolne zabudowania Mikołajowa.



O zmierzchu sporo za zabudowaniami Mikołajowa



Kilka tabliczek informacyjnych w centrum Mikołajowa

I tak oto kończą się w tym miejscu Sudety, a zaczyna ich przedgórze. Uzasadnione jest więc chyba stwierdzenie, że wspomniana figura św. Mikołaja znajduje się przy sudeckim uskoku brzeżnym. Oczywiście można polemizować, gdzie dokładnie biegnie granica między Górami Bardzkimi i Wzgórzami Niemczańsko-Strzelińskimi, ale optycznie chyba nikt nie ma wątpliwości, że mniej więcej w tym rejonie coś się kończy, a coś zaczyna.

Zabudowany teren Mikołajowa ciągnie się tymczasem jeszcze wyżej w górę doliny wspomnianego potoku uznawanego niekiedy za źródłowy ciek Welny, innym razem – określanego tylko jako jej dopływ. Górne budynki tej wsi znajdują się więc już na dobre w świetle gór – Gór Bardzkich. Niektóre z nich położone są tuż u podnóża górskich zboczy, a inne wręcz na nich, pięknie się w te zbocza wkomponowując. Ładna jest także wyżej położona część doliny tego ciek, już poza zabudowaniami wsi. Płynie on tam dość głęboką i wąską dolinką. Pluszcząca woda potoku, zalesione zbocza i trawersująca je droga, którą wiodą szlaki rowerowe: zielony i żółty – to ogólna charakterystyka fragmentu tamtego miejsca, nieco za zabudową Mikołajowa.

Wspomniane szlaki nie są jedynymi przebiegającymi przez tę miejscowość. Oprócz nich przez Mikołajów wiedzie też pieszy szlak turystyczny – zielony, będący fragmentem trasy wyznakowanej z Ząbkowic Śląskich na Srebrną Przełęcz (568 m n.p.m.). Jeden z jego znaków można zobaczyć także w pobliżu wspomnianej figury św. Mikołaja. Znaki tego szlaku od rejonu wspomnianej figury w kierunku wymienionej przełęczy umieszczone są początkowo wzdłuż szerokiej gruntowej drogi. Prowadzi ona – łagodnie opadającymi ku Przedgórzu Sudeckiemu – zboczami bardzko-górskiej Dworskiej Góry (487 m n.p.m.). Udając się we wspomnianym kierunku, zbocza te widać z lewej strony. Po prawej natomiast da się tu i ówdzie zerknąć na obszar należący już do Wzgórz Niemczańsko-Strzelińskich. Szczególnie w rejonie charakterystycznego zakrętu w lewo tejże drogi zobaczyć można z prawej strony dość płaski teren z widocznymi na horyzoncie – znacznie dalej – wzniesieniami. Znacznie dalej, z jednym jednak wyjątkiem – górą widoczną bardzo blisko. Oglądana z tego miejsca ma nieco bochenkowaty kształt. Choć jej oficjalna główna – a mająca może i uzasadnienie historyczne – nazwa brzmi Kozie Chrzepty (493 m n.p.m.) to częściej używa się innej jej nazwy – Brzeźnica. Zielony szlak pieszy zmierza tymczasem w stronę lasu porastającego górskie zbocza wspomnianej Dworskiej Góry i odnogi góry o nazwie Żdanka (530 m n.p.m.). W ten sposób ze świata przedgórza wprowadza on w świat gór.

Ale zatrzymując się jeszcze na moment w świetle pogranicza Sudetów i ich przedgórza w rejonie Mikołajowa, warto odnotować, że wprawdzie wspomniana Łysa kończy Góry Bardzkie, opadając też ku dość płaskiemu u jej podnóżu terenowi Wzgórz Niemczańsko-Strzelińskich, jednak nieco tylko dalej, ponad prawie płaski tu teren tych ostatnich, wyrasta wspomniana już góra – okazała Brzeźnica. Co tu dużo mówić – ta ostatnia nie tylko niemal dorównuje wysokością Łysej, ale jest nawet od niej nieco wyższa. A przecież Łysa leży w Sudetach, natomiast Brzeźnica na Przedgórzu Sudeckim. Mamy więc do czynienia z sytuacją, że bardzo blisko sudeckiego uskoku brzeżnego oddzielającego Sudety od Przedgórza Sudeckiego wyrasta dość wyniosłe wzniesienie należące już do tego ostatniego i wyższe od pobliskiej góry (Łysej) leżącej w Sudetach. Warto zobaczyć to na własne oczy i poczuć magię tego miejsca. Interesująca historia tych stron, o której praktycznie tu nie pisałem, może dodatkowo zachęcić do wizyty na tym terenie. A więc jak będzie taka możliwość, warto tu przybyć, przy okazji zaliczając pobyt w pobliżu figury św. Mikołaja. Bo pamiętajmy, że dostępna jest ona dla wzroku nie tylko w grudniu.



Po zachodzie słońca nieco za zabudowaniami Mikołajowa

Bartosz Skowroński

Granicznymi szlakami

Mimo trwającej pandemii, również u naszych południowych sąsiadów, chciałbym zaproponować górską wycieczkę w mniej uczęszczany rejon Sudetów, tj. Góry Rychlebské (pol. Góry Złote). Wyjazd zaplanowaliśmy tylko na trzy dni, nie licząc dojazdu, ale za to program wycieczek był obszerny.

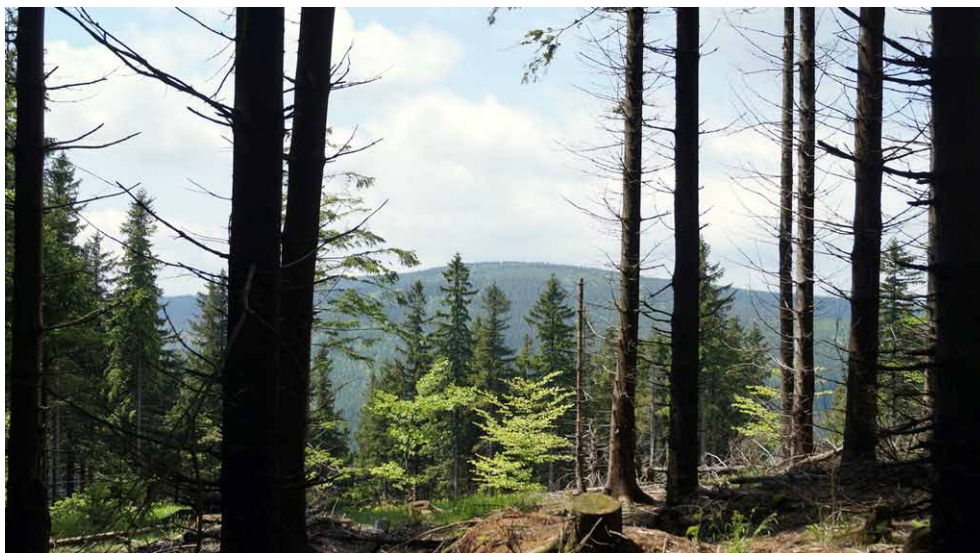
Jako bazę wypadową obraliśmy Žulová, małe miasteczko położone na Przedgórzu Paczkowskim (cz. Žulovská pahorkatina), w kraju ołunieckim, w północno-zachodniej części okręgu Jeseník, w odległości 17 km od granicy Polski. Historia miasteczka sięga już XIII wieku, kiedy należało ono do dóbr biskupstwa wrocławskiego. Miasto stanowi doskonały punkt wypadowy w Góry Rychlebské (pol. Góry Złote), chociaż można się również zatrzymać w pobliskich miejscowościach (Vápenná, Uhelná, Skorošice) i stamtąd rozpocząć dalsze wędrówki.

Po przyjeździe na miejsce, zakwaterowaniu i zrobieniu drobnych zakupów postanowiliśmy z uczestnikami wspólnej, rodzinnej wyprawy zwiedzić miasto, a potem dla rozgrzewki odwiedzić widniejącą w oddali i górującą nad miastem Górę Boga (cz. Boží Hora) leżącą na wysokości 525 m n.p.m. Z centrum miasta udajemy się niebieskim szlakiem i po przejściu 1,3 km (Czesi podają odległości w kilometrach, odmiennie niż w Polsce, gdzie wskazuje się czasy przejścia) docieramy na szczyt, skąd roztacza się ograniczona panorama na miasto, Góry Złote i Opawskie. Natomiast niebieski szlak prowadzi dalej do Plavnego Potoka. Na górze znajduje się neogotycki kościół Matki Bożej zbudowany w latach 1878-1880 z granitowych ciosów, pochodzących z pobliskich kamieniołomów. Wcześniej, w 1713 roku, na tym miejscu wzniesiona była drewniana kaplica. Po obejrzeniu z zewnątrz świątyni (obiekt był zamknięty) i krótkim pobycie na szczycie udajemy się w drogę powrotną tym samym szlakiem. Jutro czeka na nas kolejny i dłuższy dzień wędrówki.

W drugim dniu pobytu udajemy się na Kovadline (pol. Kowadło), ale dla głębszego poznania tej części gór wybieramy dłuższy wariant, tj. najpierw szlak czerwony o długości 7,5 km prowadzący na Špičák (957 m n.p.m.), by następnie kontynuować wędrówkę żółtym, granicznym szlakiem. Z centrum miasta udajemy się asfaltową drogą, która prowadzi nas do cichej wsi łańcuchowej Skorošice, która była kiedyś częścią miasta Žulová. Wieś ta ma charakter rolniczo – turystyczny i ciągnie się tak jak i szlak wzdłuż skrošického potoku. Idąc przez Skorošice, po lewej stronie drogi napotykamy niespodziewanie na zagrodę z hodowlą psów rasy bulterier. Na nasz widok psy robią dużo hałasu, ale na szczęście teren jest dobrze ogrodzony.

Po tej samej stronie szosy natrafiamy na bar piwny, przed którym stoi rubaszna Czeszka, która z przyjaznym uśmiechem zaprasza nas na piwo. Jesteśmy chyba dzisiaj pierwszymi turystami w tej miejscowości. Spoglądam na zegarek, dochodzi 10:00. Również odwdzięczam się uśmiechem i jednocześnie dziękuję grzecznie za zaproszenie, gdyż piwo lepiej mi smakuje po zejściu z gór, wieczorową porą. Za ostatnimi zabudowaniami wioski kończy się już asfalt i po przejściu przez mostek nad potokiem szlak wkracza w teren leśny. Jest tutaj zupełnie pusto, tylko w pobliżu ktoś pracuje, gdyż słyszymy odgłosy pił spalinowych. Idziemy cały czas lasem, momentami widać jedynie prześwity, które pozwalają na chwilowe oderwanie się od monotonnych widoków. Stopniowo nabieramy wysokości. Gdzieniedzie napotykamy bardziej strome podejścia. Ogólnie tempo mar-

szu mamy bardzo dobre i już po dwóch godzinach wędrówki stajemy na rozdrożu pod Špičakiem. Z tego miejsca dzieli nas już tylko 500 metrów od wierzchołka góry, który osiągamy po paru minutach. Szczyt ten, jak i większość kulminacji w Górach Złotych, jest zadrzewiony i nie możemy się cieszyć rozległymi widokami. Schodzimy ze szczytu i kierujemy się żółtym szlakiem granicznym w kierunku Kovadliny (Kowadła). Po przejściu 2,5 km docieramy do niczym



Widok z żółtego, granicznego szlaku na polską część Gór Złotych

niewyróżniającej się góry Břidličný (czyt. Brzidliczni) liczącej sobie 942 m wysokości. Nazwa góry czytana po polsku nasuwać może różne negatywne skojarzenia, jednak w dosłownym tłumaczeniu na nasz język będzie to Łupek albo Łupkowa, albowiem nazwa pochodzi od materiału skalnego, z którego jest zbudowana góra (łupki ilaste). W drodze na ten szczyt spotykamy, jak na razie, tylko jednego piechura, a następnego wędrowca widzimy dopiero po przejściu następnych 2 kilometrów.

Po minięciu tego ostatniego szczytu schodzimy w kierunku Przełęczy Piekło (cz. Sedlo Peklo), skąd znowu pod górę podążamy w stronę Kowadła. Byliśmy tam już kilkanaście lat wcześniej, ale od polskiej strony. Po przejściu jednego kilometra stajemy na wierzchołku Kowadła (988 m n.p.m.) zaliczanego do Korony Gór Polskich. Na szczycie jest kilka skałek i można z niego podziwiać widoki na Góry Żłote i północną część Wysokiego Jesenika oraz Pogórze Sudeckie. Napawamy się rozciągającymi się z tego miejsca widokami, mimo że przejrzystość powietrza w tym dniu nie była najlepsza.

Po kilku minutach obcowania ze szczytem schodzimy z Kowadła tym samym szlakiem i dochodzimy ponownie do Przełęczy Piekło (Sedlo Peklo 847 m n.p.m.). Tutaj obieramy niebieski szlak, którym przez Pramen Peklo (Źródło Piekło, gdzie w rzeczywistości z góry wypływa woda) dochodzimy do skrzyżowania szlaków Pod Chlumem. Następnie wybieramy zielony szlak, który przez gęste zarośla i bujne dość wysokie trawy prowadzi nas bezpośrednio do śródleśnych wodospadów o nazwie Nýznerovske Vodopády (Niznerowskie Wodospady). Znajdują się tutaj trzy progi wodne i największy z nich wodospad Stříbrného Potoka. Jest tu rezerwat przyrody będący jednocześnie dużą atrakcją turystyczną na trasie naszej wędrowki. Zatrzymujemy się w rezerwacie na dłużej. Widać, że jest to miejsce popularne wśród Czechów, gdyż spotykamy w tym rejonie kilku pieszych turystów i dużą grupę rowerzystów. Schodzimy w dół po kamiennych stopniach w pobliżu spadającej, szumiącej wodnej kaskady. Panuje tutaj łagodny chłód, gdyż pobliskie skały i rozpryskujące krople wody obniżają temperaturę powietrza. Wysokość, z jaką spada woda, nie jest może imponująca, ale takich widoków nie spotyka się często w tych górach.

Opuszczamy to miejsce po zrobieniu licznych fotografii i kierujemy się dalej niebieskim szlakiem do Žulovej. Do przejścia mamy jeszcze 5,5 km, które po płaskim już terenie pokonujemy w godzinę. Po prawej stronie drogi mijamy jeszcze budynek chyba stacji turystycznej wraz z przyległym parkingiem wybudowanych z funduszy unijnych. Docierając do Žulovej i będąc już w centrum miasta, przechodzimy obok restauracji „Hospůdka u Potoka». Ponieważ na całej trasie naszej wycieczki nie było żadnego schroniska ani żadnej możliwości skorzystania z ciepłego posiłku, udajemy się do tego lokalu na obiadokolację. Wystrój tej



Wodospad Stříbrného Potoka



Nietypowa konstrukcja mostu (Nýznerovske Vodopády)

restauracji nie jest może ekskluzywny, ale za to można zjeść smacznie i niedrogo (ceny już od 78 Kč za zestaw obiadowy). Menu jest nawet urozmaicone. Po sycącym posiłku wieczorem wróciliśmy do miejsca zakwaterowania, aby odpocząć po trudach wędrówki. Oglądaliśmy jeszcze w telewizji czeskich milionerów i po 23 udajemy się na nocny spoczynek.

W kolejnym i ostatnim dniu pobytu udajemy się porannym pociągiem czeskich kolei (České dráhy) do oddalonego o 18 km Javorníka (połączenia średnio co dwie godziny), w którym to mieście biorą początki szlaki na Borůvková Horę (pol. Borówkowa – 900 m n.p.m.). My wybieramy szlak czerwony o długości 12,5 km. Trasa ogólnie nie jest trudna, jednakże dość długa, licząc odległość w obie strony. Po opuszczeniu dworca kolejowego (budynek stacyjny jest nieczynny) udajemy się obok zakładu drzewnego

w kierunku centrum miejscowości, gdzie już po przejściu kilkudziesięciu kroków ukazuje się nam górująca nad miastem bryła zamku Jánský Vrch będącego główną atrakcją turystyczną tego urokliwego, przygranicznego miasteczka. Zamek ten został wybudowany na przełomie XIII i XIV wieku, a należał do biskupów wrocławskich. Obecnie zamek jest udostępniony do zwiedzania.



Zamek Jánský Vrch

Po drodze odwiedzamy znaj-

dujące się po prawej stronie ulicy Stacyjnej (Nádražní) przy Domu Kultury Centrum Informacji Turystycznej. Placówka jest dobrze zaopatrzona w mapy, przewodniki i foldery, niektóre z nich są bezpłatne. Obsługa jest bardzo miła. W tym miejscu można kupić także różne pamiątki, co też uczyniliśmy.

Po wyjściu z CIT-u udajemy się wprost na wzgórze zamkowe i dziedziniec. Oglądamy z zewnątrz budowlę i przechadzamy się po części ogrodu zamkowego. Robimy pamiątkowe zdjęcia. Bliższe poznanie zamku zostawiamy sobie na drogę powrotną, o ile wrócimy z gór przed jego zamknięciem (zamek jest czynny w maju do godziny 16:00, a zwiedzający mają do wyboru cztery trasy o łącznym czasie zwiedzania 160 minut). Kto dysponuje większą ilością czasu, może udać się z tego miejsca czerwonym szlakiem do ruin zamku Rychleby (3,5 km).

Po opuszczeniu dziedzińca zamkowego kierujemy się za znakami czerwonymi w kierunku miejscowości Trnavná. Początkowo szlak prowadzi wygodną asfaltową drogą, a po około 1,5 km skręca w prawo, by potem przejść w drogę gruntową, a następnie po kilkuset metrach ponownie wiedzie szosą. Po minięciu leśniczówki i dojściu przez miejsce ścinki drzewa pod wyciągiem linowym do Hoštického Potoku czeka nas bardzo strome i trudne podejście pod Kamenný Most. Szlak jest bardzo zniszczony przez pojazdy czeskich drwali, notabene o wiele nowocześniejszych maszyn od tych oglądanych na kanale Discovery w programie «Przystanek Bieszczady». Jeszcze trudniejsze podejście napotkamy, idąc dalej, na Vysoký Kámen (691 m n.p.m.). Po ostatnich opadach deszczu po szlaku płynie dość szeroki i rwący potok. Idąca za nami w nieodpowiednim obuwiu czeska młodzież ze szkolnej wycieczki szybko rezygnuje i idzie dalej inną drogą. Po pokonaniu tego odcinka w żółwym tempie buty są mokre i oblepione błotem, ale nas to nie zraża. Wędrujemy dalej. Gdy wreszcie docieramy na Vysoký Kámen, czeka nas wreszcie urozmaicony krajobraz w postaci wyniosłej skały, na której znajduje się punkt widokowy. Aby się tam dostać, musimy jednak poczekać chwilę, gdyż jest tutaj kilku czeskich wędrowców. Po obejrzeniu z tego miejsca panoramy okolicy schodzimy ze skały i podążamy dalej za czerwonymi oznaczeniami w kierunku naszego pierwotnego celu. Droga cały czas prowadzi przez las. Mijamy rozwidlenie szlaków pod Borůvková Horą i po paru minutach osiągamy sam szczyt Borůvkowej podzielony między sąsiadujące ze sobą kraje. Po drodze spotykamy jeszcze turystów bez plecaków, ale za to z plastikowymi kubkami w rękach z zawartością rozweselającego, złotego napoju i domyślamy się, że są to nasi rodacy. W międzyczasie napotykamy również amatora słonecznika, który mozolnie wydłubuje z niego ziarna, zostawiając za sobą liczne łuski. Pomyślałem, że w ten sposób znaczy sobie szlak, aby się nie zgubić w drodze

powrotnej. Szczyt Borówkowej jest bardzo popularny zarówno wśród polskich jak i czeskich turystów, i rzeczywiście większość ławek na wierzchołku jest zajęta, a przy wejściu do wieży widokowej stoi nawet mała kolejka. Szczyt jest zalesiony i aby zobaczyć okolicę, musimy wejść na charakterystyczną, cylindryczną wieżę. Roztacza się z niej rozległa panorama i przy dobrej widoczności możemy zobaczyć nawet wierzchołki Wysokich Tatr (kierunki i odległości wskazuje specjalna tarcza pogładowa znajdująca się na wieży). Borówkowa była w przeszłości miejscem spotkań polskiej i czeskiej opozycji, o czym dowiadujemy się z dwujęzycznych tablic informacyjnych i kamiennego obelisku. Na szczycie góry, w czeskiej części, znajduje się bufet małej gastronomii, ale o dość ograniczonym menu.



Panorama Gór Żółtych z wieży widokowej na Borówkowej Górze

Na Borówkowej zabawiliśmy około godziny i wyruszyliśmy w drogę powrotną początkowo tą samą oznakowaną na czerwono trasą. Po dotarciu do rozwidlenia szlaków pod Białą Skałą (cz. Pod Bilou Skalou) tym razem wybieramy krótszy, zielony szlak przez Letiště i Sedm Křížů prowadzący do Javorníka. Szlak schodzi łagodnie w dół, niekiedy tylko zejścia są bardziej strome. Idzie się bardzo przyjemnie, pogoda dopisuje i z każdą minutą ubywa nam odległości. Po dojściu do Hraničného Potoku łączymy się z czerwonym szlakiem, który poprowadzi nas razem z zielonym do centrum Javorníka, a stamtąd dalej czerwonym szlakiem na stację kolejową, skąd wyruszymy pociągiem w drogę powrotną do Žulovej. Jest już po godzinie 17, a zatem zwiedzanie zamku jest niemożliwe. Nie żałujemy jednak, że tak się stało, bo mamy pretekst, aby zawitać tutaj jeszcze raz w przyszłości.

Przed godziną 19 docieramy do naszej kwatery. Tego dnia musimy przygotować się jeszcze do drogi powrotnej. Wyjazd zaplanowaliśmy następnego dnia rano i tak, jak zakładaliśmy, wyruszyliśmy o godzinie 10:00 w drogę w kierunku naszej granicy, odbywając jeszcze wcześniej obowiązkowy poranny spacer po mieście.

Muszę przyznać, że pobyt na czeskiej ziemi był bardzo intensywny i udało się w zaplanowanym czasie zrealizować wszystkie założone cele. Pogoda nie pokrzyżowała naszych planów, jak to nieraz bywało w górach, a wyjazd należy zaliczyć do udanych. Od bardzo wielu lat lubię wyjeżdżać w góry do naszych południowych sąsiadów nie tylko dlatego, że większość powierzchni Sudetów leży po ich stronie, ale jest tutaj przede wszystkim czysto i nie ma tłoku na szlakach, a do tego znajdziemy tam bardzo wiele cennych i dobrze zachowanych zabytków. Myślę, że kolejną wyprawę górską również zaplanujemy w jakiś inny zakątek czeskich Sudetów.

***Autor tekstu:** Jacek Gmaj – na co dzień prawnik, a w chwilach wolnych miłośnik gór, a w szczególności Sudetów.*

***Autor zdjęć:** Piotr Gmaj – na co dzień informatyk, specjalista w dziedzinie cyberbezpieczeństwa, a w chwilach wolnych niestrudzony zdobywca górskich szczytów.*

The banner features a blue background with a yellow border. On the left, there is a logo for 'NA SZLAKU' in large, bold, green letters with a yellow outline, set against a stylized mountain range. Below the logo is the website address 'www.na-szlaku.net'. On the right side of the banner, the text 'Polub nas na Facebooku!' is written in large, bold, yellow letters with a black outline.

Pszczoły, barcie, bartnicy, turyści...

Na Sądeckczyźnie hodowanie tych wspaniałych – przysłowiowo pracowitych owadów – zapisane jest w kronikach od co najmniej 750 lat. A na pewno dłużej, bo puszczańskie barcie drążono w pniach starych drzew na długo przed zapisami w kronikach. Miód na stołach jako pożywienie, miód z miodu jako napitek, woskowe świece wotywny w świątyniach, obfite plony w sadach owocowych dzięki pasiekom wśród drzew jabłoni i śliw to odwieczny pożytek z pszczół dla ubogich i bogatych. Wszystkim na zdrowie w medycynie ludowej, w gospodarce, w codzienności i stylu życia mieszkańców gór i nizin.

W polskiej kulturze rolnej i sadowniczej – jako znak wysokiej klasy umiejętności w korzystaniu z pszczół – Walenty Kącki już w 1614 r. napisał pierwszy podręcznik *Nauka koło pasiek*, czyli wskazówki praktyczne dla hodowców tych owadów zwanych pasiecznikami lub bartnikami. Inny słynny praktyk w dziedzinie bartnictwa Jan Dzierżon 175 lat temu skonstruował i popularyzował budowanie uli z ruchomymi ramkami, w których pszczoły budują plastry z sześciokątnymi komórkami. Owady zapełniają je miodem.

Pszczelarstwu służyły opracowania Jana Krzysztof Kluka, m.in. w 1787 r. w podręczniku dla Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych opracował *Dykcjonarz roślinny...*, opisał w nim rośliny pożyteczne dla pszczół, zaś w 1870 r. w dziele *Zwierząt domowych i dzikich, osobliwie krajowych, historii naturalnej początku i gospodarstwo. Potrzebnych i pożytecznych domowych chowanie, rozmnożenie, chorób leczenie, dzikich łowienie, oswojenie, zażycie, szkodliwych zaś wygubienie*, w tomie 4. *O owadach i robakach* jest rozdział o pszczołach. Warto dodać, że w 1882 r. w Warszawie z inicjatywy Kazimierza Lewickiego zaistniało Muzeum Pszczelnictwa szkolące pszczelarzy i ogrodników.

Wróćmy na Sądeckczyznę. Wśród kilkunastu najbardziej znanych muzeów i skansenów pszczelarskich w Polsce należy stworzone w 2000 r. związane z firmą „Bartnik Sądecki” prywatne Muzeum Pszczelarstwa im. Bogdana Szymusika w Stróżach opodal Nowego Sącza. Składa się na tę placówkę kolekcja ponad 100 zabytkowych uli, pomnik pszczoły, miodowy sklep firmowy, szkoła dla przyszłych bartników organizująca specjalistyczne szkolenia w zakresie wiedzy o pszczelarstwie, hodowli pszczół, ochronie przed chorobami niszczącymi pasieki.

Z łatwością można sobie wytyczyć trasę wakacyjnej wędrówki krajoznawczej przez powiat nowosądecki. W każdej z 16 gmin znajdziemy „coś słodkiego”. A to pasiekę z wieloletnią tradycją, a to gospodarstwo bartne, a to sad owocowy z kolekcją uli, a to sklep z produktami pszczelimi i koło pszczelarskie złożone z entuzjastów bartnictwa. Podobnie jest w sąsiednich powiatach Sądeckizny. Wśród wielu znanych w całej Polsce placówek jest Muzeum Pszczelarstwa w Kamiannej koło Nowego Sącza. To zarazem prywatna pasieka rodzinna Emilii i Jacka Nowaków stworzona pierwotnie przez ks. Henryka Ostacha. Zbiory eksponatów i tradycje mają 200 lat, a tworzy je skansen uli figuralnych i rzeźb o tematyce pszczelarskiej. Unikatowy jest Dom Pszczelarza Polskiego Związku Pszczelarskiego.

W osiedlu Obłazy Ryterskie w gminie Rytro nad Popradem jest od trzech pokoleń Gospodarstwo Pasieczne „Miś” na stokach Radziejowej w Beskidzie Sądeckim. Jest to zarazem górską przystań dla turystów. W sądeckim Podegrodziu w sierpniu 2018 r. zorganizowano po raz piąty pod egidą Sądeckiego Parku Etnograficznego „Wielki Dzień Pszczół”. To impreza popularyzująca pszczelarstwo i pożytki z tych owadów adresowana do dzieci i młodzieży. Zachęcano je oraz dorosłych do zakładania Miejsc Przyjaznych Pszczołom z roślinami miododajnymi. Odbyły się warsztaty, gry, pokazy, a w całym kraju w pomaganiu pszczołom brały udział parki narodowe, krajobrazowe, ogrody botaniczne.

Jedno z najbardziej znanych w Polsce i Europie sądeckie uzdrowisko – Krynica-Zdrój może pochwalić się Kołem Pszczelarzy. Liczy ponad 60 członków z kilkudziesięciu okolicznych wsi, dba o 1240 rodzin pszczelich, a zrzeszone jest w Karpackim Związku Pszczelarzy. Wiosną i latem odbywają się otwarte dla zainteresowanych – także dla turystów wędrujących po Beskidzie Sądeckim – spotkania w pasiekach, pokazy, wykłady specjalistyczne i popularne. Odmienna sytuacja jest w sądeckim uzdrowisku Piwniczna-Zdrój. Tutejsza pasieka i sad drzew owocowych to pozostałość po prawdziwym gospodarstwie bartnym. Jego gospodarze

zamienili sad i dawną kolekcję uli w miejsce do wypoczynku wśród drzew owocowych. Opodal jednak płynie mały potok, ale jest też czynna pasieka i sad starych odmian jabłoniowych drzew owocowych. W sąsiedztwie są szlaki turystyczne prowadzące przez Beskid Sądecki.

Podobnie sławne są tradycje, kolekcje i placówki pszczelarskie w Wielkopolsce. Do najważniejszych zalicza się położony w parku i wpisany do cennych zabytków Skansen Pszczelarski i Muzeum Pszczelarstwa w Swarzędzu. Podobnie od 1999 r. działa oddział Muzeum Narodowego Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego w Szreniawie. Jego początki sięgają skansenu pszczelarskiego stworzonego przez Ryszarda Kosteckiego w 1963 r. Był to Zakład Chorób Pszczół w strukturze Instytutu Weterynarii w Puławach.

Znacznie dalej od Sądecczyzny, bo aż na Warmii, w Czerwonce koło Olsztyna i Mrągowa jest skansen pszczelarski, a w nim największa atrakcja – czynna pasieka złożona z kilkunastu uli figuralnych i kolekcja różnorodnych narzędzi niezbędnych w pasiece. Skansen nie jest tylko producentem miodu i innych substancji pszczelich. Jest miejscem, gdzie odbywają się „Zielone szkoły”, a właściwie „miodowe / pasieczne szkoły”. Młodzież ma okazję poznać wielowiekowe tradycje polskiego bartnictwa.

Niewielu turystów i krajoznawców wie, jaki jest zasięg lotów pszczelich robotnic. Pszczoły afrykańskie dla pozyskania nektaru i pyłku przemierzają zaledwie pół kilometra.

Polskie i włoskie wybierają się w poszukiwaniu pożytku nieco dalej – do 3 km. Najdalej – co potwierdzono w badaniach zwyczajów tych owadów – od ula w poszukiwaniu pożytku odlatują pszczoły ukraińskie, aż do 13 km. Obierają kierunek lotu sygnalizowany przez specjalny „taniec” swoich sióstr - robotnic. Za to w ciągu roku pracy pszczół bartnik / pszczelarz może pozyskać od jednej rodziny pszczolej 8–10 kg miodu i co najmniej 1 kg wosku. Ale przeciętny rój pszczół do pomyślnego życia potrzebuje 30 kg pyłku i 90 kg miodu, przede wszystkim różnorodnych gatunków roślin miododajnych, także kwiatowych i drzew takich jak: wierzby, sosny, jodły i świerki, z których zbierają cenną spadź.

Wypada dodać, że przy niewielkim wysiłku, planując krajoznawcze wędrowki po każdym regionie naszego kraju, warto poświęcić czas na czytanie map i regionalnych informacji niezbędnych turystom. Co prawda nie ma wyznakowanych szlaków „bartnych”, „pasiecznych”, „pszczelarskich”, ale jest wiele gospodarstw pszczelarskich, skansenów, muzeów z takimi kolekcjami, wystawami, zbiorami uli i sprzętów. A ponadto można poznawać tradycje naszego pszczelarstwa i nabyć rozmaite rodzaje miodów uznawanych powszechnie i od wieków za sprzyjające dobremu zdrowiu.

Tomasz Kowalik



Jeden z uli w Muzeum w Stróżach



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Łąka ma swoje muzeum nad Odrą

Zwielu osobliwych polskich muzeów przyrodniczych Muzeum Łąki w Owczarach nad Odrą w woj. lubuskim wyróżnia się swoją oryginalnością i kolekcją okazów, hodowlą, uprawami i tematyką zbiorów. Osobliwością jest także hodowla owiec dla utrzymania składu gatunkowego muraw kserotermicznych porastających nadodrzańskie wzgórza morenowe. Muzeum znajduje się w Owczarach w gminie Górzycza i jest częścią Stacji Terenowej Klubu Przyrodników ze Świebodzina. To zarazem małe schronisko turystyczne dla około 20 osób.

Muzeum Łąki w Owczarach to przede wszystkim wystawa przyrodnicza poświęcona ekosystemom trawiastym Polski i świata. Obok jest hodowla owiec wrzosówek, kóz i koników polskich. Stację otacza obszar chroniony „Owczary”, czyli społeczny rezerwat przyrody chroniący murawy kserotermiczne. Chroni gatunki stepowe, np. ostnice Jana, włosowatą, mikołajka polnego. Przy Stacji jest ogród botaniczny z kolekcją roślin łąkowych. Przez rezerwat prowadzi ścieżka przyrodnicza.

Owczary to niewielka wieś nad Odrą o bogatej historii sięgającej XII w. W budynku dawnej gospody od 1998 r. jest wspomniana Stacja Terenowa Klubu Przyrodników i największa atrakcja krajoznawcza – **jedyne w Polsce Muzeum Łąki**. Na obszarze chronionym występują rośliny typowe dla stepu podolskiego lub ukraińskiego. Podobny charakter i skład gatunkowy roślin stepowych ma rezerwat przyrody „Ostnicowe parowy Gruczna” na stromej skarpie doliny Wisły w gminie Świecie, w województwie kujawsko-pomorskim, w Zespole Nadwiślańskich Parków Krajobrazowych. Rezerwat podlega czynnej ochronie, czyli trzebieniu samosiewnych zarośli tarniny, głogu, dzikiej róży oraz wypasaniu owiec wrzosówek.

Stacja w Owczarach powstała, by czynnie chronić dobrze zachowane murawy kserotermiczne. Możliwość zakwaterowania sprzyja turystyce przyrodniczej. Stacja ma też sad owocowy złożony ze starych odmian oraz kolekcję ginących chwastów polnych. Jest też organizatorem Letnich i Wiosennych Spotkań z Łąką i Sadem. Uczestnicy takich imprez mogą na miejscu wypożyczyć rowery i lornetki. Do głównych atrakcji w czasie pobytu należy **spacer ścieżką przyrodniczą** „Murawy w Owczarach” wiodącą wokół Obszaru Chronionego z panoramicznym widokiem z nadodrzańskich wzgórz na niemieckie tereny nad Odrą.

Najważniejsza w pracy Klubu Przyrodników jest edukacja, ochrona przyrody i turystyka w przyrodzie. Klub także wykupuje grunty i tworzy „prywatne” rezerваты przyrody, ma ich ponad 200 ha. Klub organizuje konferencje szkoleniowe, warsztaty i kursy, wspomniane Spotkania z Łąką i Sadem, wydaje biuletyn przyrodniczy „Bociek». Działalność KP wspierana jest z funduszy krajowych, unijnych i składek członkowskich. Spotkania z Łąką to w istocie forma krajoznawstwa i turystyki przyrodniczej, czyli okazja do poznania problemu ochrony roślinności łąk w postaci ochrony czynnej przez wypasanie owiec wrzosówek.

Obecnie Stacja Terenowa KP obejmuje ochroną prawną kilkanaście obiektów z najcenniejszymi fragmentami muraw kserotermicznych nie tylko w Owczarach nad Środkową Odrą, ale też nad Wartą i Notecią – łącznie około 250 ha. Najcenniejsze powierzchnie chroni wypas owiec oraz usuwanie roślin inwazyjnych – robinii (akacji) i tarniny. Wypas koszarowy 26 owiec przez 30 dni odbywać się będzie na dwóch powierzchniach – 2,6 ha i 2 ha na łąkach w Ligocie Dolnej w woj. opolskim, w rejonie Góry św. Anny. Potem owce zostaną przewiezione samochodem Klubu Przyrodników na drugą powierzchnię w Dolnej Ligocie na kolejny miesiąc wypasu. Praca rozpocznie się w Stacji Terenowej w Owczarach od przeszkolenia na temat wypasu, a po 2-3 dniach nastąpi przejazd na łąki w woj. opolskim. Nadzór nad wypasem będą mieli wolontariusze opłaceni z funduszu Klubu i zakwaterowani w warunkach polowych opodal kierdela owiec.

Nabór wolontariuszy na atrakcyjną część wakacji lub urlopu do opieki nad kierdelem 26 owiec w warunkach osobliwej pracy dla ochrony środowiska trwa za pośrednictwem e-poczty: owczary@kp.org.pl. Klub Przyrodników od 1994 r. dysponuje i opiekuje się ponad 30 ha ciepłolubnych łąk, pastwisk, zarośli na wysokim brzegu granicznej Odry. Na łąkach pokrywających morenowe wzgórza występują liczne gatunki roślin zagrożonych wyginięciem, a także są to siedliska rzadkich owadów i mięczaków.

Spośród 62 znakowanych szlaków na pograniczu woj. lubuskiego dla turystów pieszych i na rowerach wypada wspomnieć o niebieskim z Kostrzyna przez Park Narodowy „Ujście Warty», Górzycę i Owczary do Stacji Terenowej Klubu Przyrodników i Muzeum Łąki – tylko 16,5 km łatwego terenu.

Tomasz Kowalik

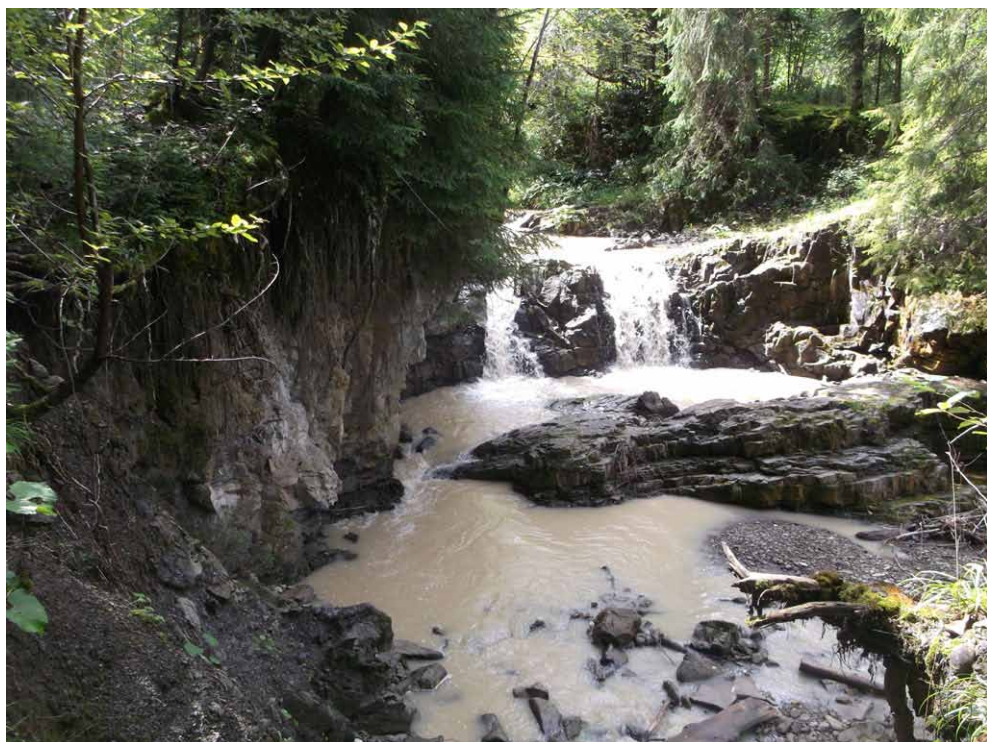
Wodospad na „Żółtej Rzece”

Wędrując beskidzkimi szlakami warto czasem przystanąć, rozejrzeć się, posłuchać otoczenia. Często idąc pod górę lub choćby drogą w dolinie, patrzymy pod nogi albo rozmawiamy, przez co umykają szczegóły krajobrazu, jakieś ciekawostki. Tak by się prawie stało, gdy szliśmy drogą w dolinie potoku Rycerki w kierunku Przegibka. Wystartowaliśmy ze stacji Sól drogą w kierunku wsi, dalej przez wzgórze Łysica (704 m), z którego schodzi się do wspomnianej doliny. Tam szlak niebieski biegnie szosą krótko razem z zielonym. Ów niebieski do niedawna był znakowany kolorem czarnym. Wiedzie on przez Praszywkę Wielką (1044 m) i przełęcz Przysłóp Potócki na Przegibek.

Wędrowaliśmy asfaltową drogą z zielonymi znakami szlaku turystycznego, który kilka kilometrów dalej schodzi z drogi i wspina się po stoku ku Przegibkowi. Wybrałem tę drogę, ponieważ zależało mi, by po długiej podróży pociągami oszczędzić sobie żmudnego podchodzenia na Praszywkę. Podejście na tę górę z Rycerki Dolnej to 490 m przewyższenia. Idziemy sobie, idziemy, aż tu nagle coś głośno zaszumiało po prawej stronie. Szumiało głośniejsz niż zwyczajny szum wody w potoku. Trzeba było to sprawdzić, a nuż coś ciekawego? Zeszliśmy z szosy, znaleźliśmy ślad ścieżki, która doprowadziła na brzeg potoku Rycerki (nie mylić z rzeką Rycerka). Zobaczyliśmy spory, głośny wodospad toczący żółtą wodę. Przypuszczalnie w nocy padał ulewny deszcz lub była burza, teraz wszystko spływało strumykami i zboczami do Rycerek. Ścieżka wiedzie brzegiem potoku nad wysokim urwiskiem. Skalisty próg wodospadu liczy ok. 2 m, natomiast urwisty brzeg około 4 m. Otoczenie naturalne i dzikie, troszkę zaśmiecone, ale nie ucywilizowane – bez ławeczek, koszy i placu dla samochodów. Warto zatem zejść z drogi i obejrzeć ten mało znany zakątek Beskidu Żywieckiego.

Juliusz Wystouch

Próg wodospadu widziany z góry



Urwisty brzeg i wodospad na potoku Rycerki



Płynąć w poprzek – to też sztuka

Prom rzeczny – swoisty, a zarazem wielce użyteczny rodzaj statku. Taka wielka, ale osobliwa łódź może, płynąc tylko częściowo pod prąd, a czasem niewiele z prądem, jednak zawsze służy połączeniu dwóch brzegów, czyli płynie w poprzek rzeki. To mimo wszystko jednak rodzaj mostu. Płynie z własnym napędem, swobodnie albo częściej na uwięzi na obydwu brzegach rzeki. Wodniacy mawiają „na smyczy». Z zasady dowodzi nim kapitan, a co najmniej bosman żeglugi śródlądowej, tak samo w Polsce i w wielu krajach na świecie..

Przeprawom przez polskie rzeki i jeziora służy 60 takich statków – zazwyczaj o przedziwnych kształtach i konstrukcji, jednak służących ważnemu celowi. Znane są jako niezgrabne promy. Większość z nich to „maluchy», tych dużych o wadze kilkunastu ton, ale o ważnym znaczeniu, jest zaledwie 19, a pływają nieco szybciej niż żółwie, ale taka ich uroda, rola spełniana od dawna w żegludze śródlądowej.

Wbrew pozorom i postępowi technicznemu przyszłość przepraw promowych zapowiada się bardzo skromnie. Koszty budowy nowoczesnych mostów są niemałe i nie zaspokajają lokalnych potrzeb w niezbędnych połączeniach drogowych. Stare promy rzeczne pływają „na słowo honoru» – to typowe starocie, w istocie jakby zabytki, jednak każdy spełnia wymóg bycia nietypowym statkiem pasażerskim i transportowym w jednym egzemplarzu.

Jeden nasz prom rzeczny o nazwie „Nieszawa», jak jego port macierzysty w stolicy kujawskiej gminy Nieszawa, przełamuje wszystkie normy – jeśli ich oczekujemy na brzegach. Ten bocznokołowiec z dwoma kołami łopatkowymi na obydwu burtach służy żegludze w poprzek Wisły od 2 maja 1992 r. Na zaledwie kilkumetrowym pokładzie może zmieścić 8 samochodów osobowych, ciągnik z naczepą (tzw. tir), 2 ciężarówki, ale też 20 osób z rowerami. Zbudowany jako klasyczny unikatowy prototyp o boczno kołowym napędzie hydraulicznym w 1991 r. w Sandomierskiej Stoczni Rzecznej istniejącej od 1951 r. Od końca 1992 r. jest to zakład o statusie Spółki Pracowniczej z o.o. Służy usprawnieniu pracy jednostek żeglugowych na Wiśle.

Tradycyjna przeprawa w Nieszawie służyła temu celowi przez ponad 100 lat dzięki drewnianym prostym promom i łodziom, a dopiero od 30 lat za pomocą podziwianego promu bocznokołowego. To jedyny taki statek w Polsce, służy ruchowi drogowemu w linii drogi powiatowej 249 C i utrzymują go Gmina Miejska Nieszawa oraz powiaty: Aleksandrów Kujawski, Toruński i Lipnowski. „Nieszawa» to nie tylko prom, który łączy Ziemię Dobrzyńską z Kujawami, bywa też co roku 15 sierpnia estradą dla orkiestry podczas „Koncertów na wodzie», a czasem



Prom w Nieszawie podczas nakręcania scen do filmu „Excentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy”

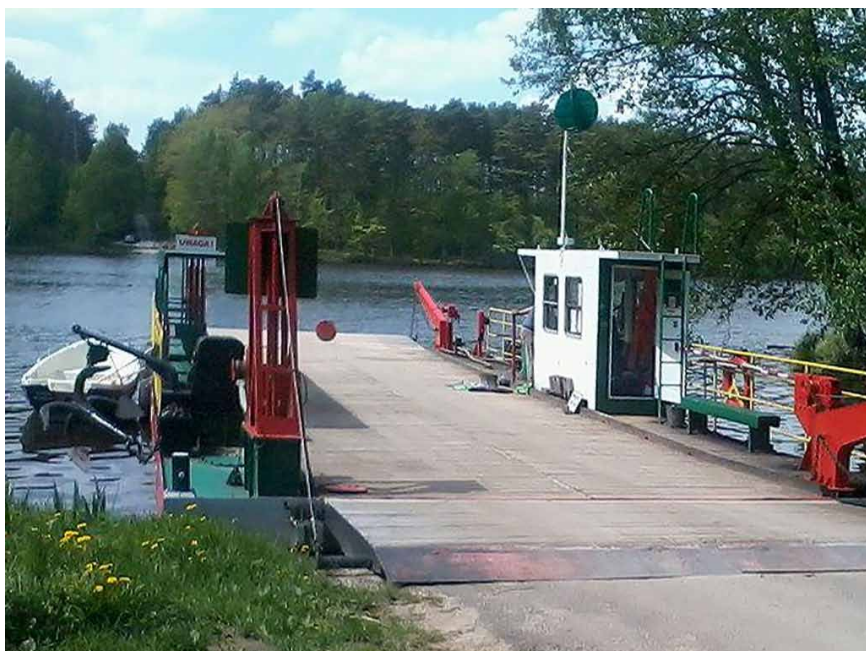
także... są na wolnym wiślanym powietrzu czy może pokładem dla miejscowego Urzędu Stanu Cywilnego i paradnych ceremonii ślubnych. Już kilka razy był scenografią do filmów o Nieszawie: *Ballada o Piotrowskim*, *Ekscentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy*, o Fryderyku Chopinie i Edwardzie Stachurze – związanym życiowo z pobliskim Ciechocinkiem i Aleksandrowem Kujawskim. Nic dziwnego, że wyróżnia się w regionie i poza nim jako atrakcja turystyczna i przedmiot zainteresowań krajoznawców.

Prom nieszawski na co dzień służy przewozom towarowym i turystycznym, ale od XVIII w. nieszawianom marzy się prawdziwy, bezpieczny latem i zimą, most drogowy. Niebawem „Nieszawa” będzie miał „krewniaka” do pomocy w obsłudze przeprawy wiślanej z Czarnowa do Solca Kujawskiego, czyli połączenia dróg krajowych 10 i 80. Do podjęcia służby żeglugowej gotów jest nowoczesny prom „Flisak” - wycieczkowiec boczno kołowy dla 15 samochodów osobowych, autobusu i 2 furgonek, z ławkami dla pasażerów. Powstał w Stoczni Rzecznej w Tczewie kosztem około 20 mln złotych. Czyli wiślane promy... *non omnis moriar*.

Okazuje się, że wspomniane całkiem liczne promy można podziwiać i korzystać z ich pomocy w podróżach lokalnych i dalekosiężnych nad Bałtykiem, na Mazurach, na rzekach w Wielkopolsce, Kujawach, Pomorzu i Podkarpaciu. Promami w poprzek Sanu można przepływać w Nozdrzu, Sielnicy, Wybrzeżu, Babicach. Oczywiście jest wygoda dla mieszkańców okolicznych miejscowości i atrakcja turystyczna, jakich niewiele w takiej formie w tej części kraju. Wrzawy to wieś położona w powiecie tarnobrzeskim, w gminie Gorzyce tuż przy ujściu Sanu do Wisły, w linii drogi wojewódzkiej 854. Droga nie jest jednak ciągła, przecina ją San, więc tutejszy prom o wyporności 10 ton porusza się „na smyczy” i ułatwia przejazd z Wrzaw, dokładniej z Czekaia Wrzawskiego do Czekaia Pniowskiego. Jego napęd to naturalny silny nurt Sanu. To bardzo dawna przeprawa znana już w XVIII w. na handlowym tzw. Trakcie Węgierskim wiodącym do Lublina. Wielkim powodzeniem cieszyła się pobliska karczma oraz młyn i spichlerz należące do właściciela promu. Kiedyś był prywatny, dziś podlega Zarządowi Dróg Wojewódzkich.

W województwie świętokrzyskim, tam gdzie Dunajec łączy się z Wisłą, w małym Opatowcu prom pozwala przepłynąć się przez obydwie rzeki jednocześnie. Atrakcją jest nie tylko prom – kursuje 15 godzin dziennie – ale też łatwo dzięki niemu dostępna malowana – dosłownie – sławna w całej Europie wieś Zalipie wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Barwne kompozycje kwiatowe ozdabiają domy, stodoły, studnie, płoty, a nawet drzewa owocowe w ogrodach. Dziś jest wesoło, ale dawniej był to ponury styk granic zaboru austriackiego z rosyjskim.

Nasze promy ułatwiają także przepływanie szerszych zatok naszych Wielkich Jezior Mazurskich. We wsi Wierzba pływa prom łączący z wieloma miejscowościami tę wieś opodal Mikołajek. Pływa zgodnie z rozkładem rejsów i łączy brzegi jeziora Beldany. Udźwignie samochody osobowe i ciężarowe.



Prom na Zalewie Koronowskim

Od kwietnia do października 2020 r. prom na Zalewie Koronowskim w ciągu drogi powiatowej nr 1030C Cekcyn – Lubiewo – Cierplewo – Sokole Kuźnica kursował regularnie z pożytkiem dla wielu mieszkańców tych miejscowości. Jedyne ograniczenie to liczba nie 20, a tylko 10 pasażerów i 2 m odległości między nimi.

Znacznie rzadziej, ale trafiają się podróznym promy prywatne. W wielkopolskim Bieńcu nad Wartą znajduje się przeprawa promowa, na popularnym rowerowym szlaku turystycznym, należąca do właściciela pobliskiej posesji Można od niego wypożyczyć kajaki lub konia do wycieczki wierzchem. Typowy jest niewielki prom „na smyczy” na rzece w Załęczańskim Parku Krajobrazowym w woj. łódzkim. Inny prom pływa w Czeszewie, ma na imię „Nikodem», miałem okazję poznać go, przeprawiając się kilka razy jako pasażer. Kosztowało mnie to za każdym razem tylko 1 złoty. Jest jednym z trzech takich statków na Warcie, dawniej, bodajże od ponad 80 lat, także towarowy, dziś głównie turystyczny. Zarządza statkiem Nadleśnictwo Jarocin, bowiem wysiadamy z niego prosto do dorodnego lasu opodal jego siedziby w stylowym dworku. To **Ośrodek Edukacji Leśnej „Centrum Zarządzania Łęgami” w Czeszewie.**

To okolica znana z bujnej przyrody jako Żerkowsko-Czeszewski Park Krajobrazowy. Wytyczono w nim malownicze ścieżki przyrodnicze: „Nad Lutynią”, „Stare Dęby”, a starorzecze „Starucha” to popularne niemal cały rok miejsce do rekreacji. Drugi prom, pod zarządem powiatu w wielkopolskiej Wrześni, służy przeprawom w Nowej Wsi Podgórznej. Utrzymuje jak tramwaj regularne połączenie między wsiami powiatu jarońskiego i wrzesińskiego, a nie jest tylko atrakcją turystyczną dla odwiedzających las.

Trudno wyobrazić sobie nurt Odry, łęgi nadrzeczne i malownicze rozlewiska bez promów międzybrzegowych łączących sąsiednie tereny tej granicznej rzeki. Atrakcja turystyczna, element infrastruktury drogowej, nadal pożyteczny lokalnie środek transportu – w jednym. Promowa komunikacja wewnątrz zabudowy miejskiej Wrocławia pozostawiła ślady do dzisiaj. Poza stolicą Dolnego Śląska działa kilkadziesiąt lokalnych, spinających odcinki dróg, płatnych symbolicznie przepraw promowych. Jedną z nich jest w Grzegorzowicach – Ciechowicach w okolicach Raciborza. Największą przeszkodą w ich służbie są naturalne niskie stany wód w Odrze, np. nieczynna jest z tego powodu przeprawa Niemirów – Gnojno. Duże znaczenie dla przyszłości promów mają coraz liczniej budowane nowoczesne mosty, które eliminują promy niejako naturalnie, np. w Chobieni i Ciechanowie.

Typowym promem „na smyczy» – czerwonej ostrzegawczej linii – był prom samochodowy „Wacek” w Kępinach na deltowym odcinku Nogatu łączącym go z Mierzeją i Zalewem Wiślany. Zlikwidowano tę przeprawę w 2012 r., bowiem jego utrzymanie było za drogie dla Starostwa Powiatowego w Elblągu. A był wielce pożyteczny dla turystów jako objazdowe połączenie drogowe .

Do najliczniej „uzbrojonych w promy” należy nizinna mazowiecka Narew. Promy ułatwiają mieszkańcom życie codzienne w Czarnocinie, Nowych Łachach - Lubielu, Teodorowie i Rakowie-Czachach, Zambskach Kościelnych i Przeradowie. Uroczyste wodowanie promu o imieniu „św. Wojciech” uświetniło tradycyjne wianki świętojańskie w czerwcu 2016 r. Czyli tradycja przepraw promowych na naszych rzekach nie ginie bezpowrotnie w mrokach przeszłości. Lokalne inicjatywy samorządowe owocują usprawnieniem komunikacji.

W znanej mi od wielu lat górskiej wsi Tylmanowa nad Dunajcem – jak głosi tradycja i przykład współczesny – z potrzeby życiowej od dawna budowano czółna do przewozu ludzi, zwierząt, siana, mebli, weselników, żałobników, gości letniskowych. Działo się to w kilku okolicach osiedli: Mastalerze, Czeczugi, Kliniec, Króle, Brzegi, Wybrańce, Górzany, Stachówka, ale najbardziej znana jest czynna przeprawa z osiedla Kłodne na lewym brzegu do osiedla Królowo na prawym brzegu dawniej groźnego, a dziś całkiem spokojnego Dunajca. Niektóre z wymienionych osiedli miało po 2-3 czółna na linkach i swoich przewoźników, a niektóre po 2-3 cieśli - skutników. Znani byli z tego rzemiosła cieśle –skutnicy, m.in. Antoni Adamczyk, Tomasz Noworolnik – zarazem skrzypek wirtuoz, Ligas, Ziemianek, którzy budowali płaskodenne czółna z desek świerkowych. Płaskodenki prowadzone są dziś codziennie przez przewoźników w poprzek nurtu „na pych” za pomocą ponad 2-metrowej tyczki i „na smyczy”, czyli linii zabezpieczającej. Mimo że obydwie brzegi Tylmanowej łączą 2 mosty drogowe i 2 kładki dla pieszych, jak każe tradycja i wymaga potrzeba – przeprawa czółnem „do Królowej” jest w codziennym użytku.

W wielu górskich wsiach nad Dunajcem tradycje flisackie są zapisane w dziejach setek rodzin jako flisowanie, spław drewna, plonów z pól, zwierząt z i na pastwiska, w dni świąteczne rodziny i dzieci do szkoły i kościoła, z przesiadką do samochodu oraz wożenie gości letniskowych. Są one tak samo ważne jak podbieganie z nurtu Dunajca raków i spod kamieni pstrągów czy lipieni jako powód do dumy ze sprawności i zaradności ćwiczonej od lat dziecińczych i młodzieńczych.

Tomasz Kowalik

Fot. Bogumił R. Korzeniewski

XXI Spotkanie Śladowe Czytelników i Sympatyków „Na Szlaku” (XXI Spotkanie Narciarzy Śladowych)

termin: czwartek 4.03. – niedziela 7.03.2021
miejsce: Beskid Żywiecki, Żabnica Skałka, agroturystyka ul. Boracza 3
rejon działania: Słowianka, Boracza, Lipowska, Rysianka, Romanka, Prusów
dojazd: przez Żywiec i Węgierską Górkę
warunki: pokoje 2, 3 i 4-osobowe z łazienkami, aneksy kuchenne do dyspozycji
koszty: osobo/doba 85 zł, w tym śniadanie, obiady-kolacja, nocleg (łącznie 255 zł) według cen 2020, rozliczenie indywidualne gotówką z gospodynią kwatery

Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela:

Juliusz Wysłouch, julo.tela@pro.onet.pl tel. kom. 517 222 664 do 10 lutego 2021

Zapraszam na kolejne, już XXI Spotkanie Śladowe. Wracamy w Beskid Żywiecki. Naszą bazą będzie obiekt w Żabnicy Skałce, niemal na końcu miejscowości, w pobliżu skrzyżowania szlaków na Halę Boraczą, na Słowiankę i Romankę, na Halę Lipowską. W naszym zasięgu będą zatem wymienione cele górskie, ale także Rysianka czy Prusów. Korzystając z samochodu, można zaplanować dojazdy do okolicznych miejscowości, np. Rajczy, Soblówki, Węgierskiej Górki lub Rycerki Górnej Kolonii, skąd można udać się na Rycerzową, Przegibek, Wielką Raczę, a nawet w rejon Baraniej Góry. Możliwości jest wiele. Słowem, czekają na nas bardzo ciekawe szlaki i rozległe hale, na których można sobie bezpiecznie pośmigać. W pobliżu kwatery (150 m) jest sklep, w którym można kupić zaopatrzenie na wyjścia w góry. Najbliższy bankomat znajduje się w Węgierskiej Górcie.

Dojazd do bazy własnym transportem lub koleją i busem przez Żywiec lub Węgierską Górkę. W tym przypadku najlepiej dojechać do Żywca, skąd busem THERM-CAR z dworca autobusowego dojechać do Żabnicy Skałki (relacja: Żywiec – Żabnica Kamienna). Odjazdy z Żywca o godz. 7.39, 9.54, 11.50, 14.27 i 15.50. Niestety, możliwe jest to tylko w dni robocze od poniedziałku do piątku, zatem niedzielny powrót trzeba zorganizować we własnym zakresie, np. skorzystać z uprzejmości zmotoryzowanych uczestników Spotkania. Wariant pieszy dotarcia z Żabnicy do Węgierskiej Górki (do stacji kolejowej) to 7,5 km „z buta”. Jeśli ktoś chce, to może przyjechać wcześniej bądź wyjechać później w porozumieniu (rezerwacja) z gospodynią obiektu p. Ewą Kupczak, e-mail julitta26@wp.pl Zatem, do zobaczenia w Żabnicy.

Juliusz Wysłouch



**Żabnica Skałka, agroturystyka
ul. Boracza 3**

Trochę zimy jesienią

Mniej więcej do 11 października pogoda w górach była łaskawa dla turystów, choć trochę mniej dla ratowników. Ponieważ ruch w górach był spory, to i pracy im nie brakowało, choć wypadki były dość typowe, „fajerwerków” nie było. Szczególnie korzystne warunki były od początku miesiąca do soboty 10.10. Już w niedzielę jedenastego niebo zasnuło się chmurami i zaczęło padać. W niższych górach początkowo mżawka, potem lekki deszcz, następnego dnia lało już w całej południowej połowie kraju. Jak się okazało, wysoko w górach, w Tatrach, Karkonoszach, na Babiej i na Pilsku, ale także niżej – w szczytowych partiach Gorców i Beskidu Żywieckiego, nawet w Sądeckim padał śnieg, a temperatury spadły do zera i poniżej. Na Hali Lipowskiej pojawili się nawet narciarze. Tak zaczęła się jesienna zima w polskich górach. Śniegu spadło dość dużo, średnio powyżej 15 – 20 cm.

Ten śnieżny tydzień zaczął się fatalnie, szczególnie dla piątki Niemców, którzy po noclegu w Chacie pod Rysami ruszyli na szczyt z planem zejścia do Doliny Rybiego Potoku i na nocleg w schronisku w Roztoce. Do wierzchołka jakoś szło, potem zaczęły się kłopoty. Tego dnia nie dość, że padał śnieg, to i widzialność była marna. W takich okolicznościach niemieccy turyści zaczęli schodzić z Rysów na polską stronę. Około 200 m poniżej szczytu turystka poślizgnęła się, nie utrzymała na łańcuchu i poleciała w dół. Jej towarzysze zatrzymali się i natychmiast skontaktowali się z TOPR. Było to krótko po godz. 13-tej. Nie było wiadomo, czy turystka żyje, jej koledzy nie byli w stanie do niej dotrzeć. Jak się okazało, cała piątka nie była przygotowana na trudne zimowe warunki wysokogórskie. Ruszyła akcja, a właściwie wyprawa ratunkowa. Po szczegóły odsyłam na stronę internetową TOPR, gdzie ją dokładnie opisano. Dość powiedzieć, że czwórkę turystów sprowadzono do schroniska nad Morskim Okiem ok. godz. 23, a ciężko ranną turystkę dostarczono do szpitala po godz. 2. w nocy. W akcji wzięło udział 41 (!) ratowników. Dlaczego aż tylu – polecam opis wyprawy na stronie TOPR. Warto ją uważnie przeczytać, daje dużo do myślenia. Na szczęście więcej tak spektakularnych wydarzeń już nie było. Przysłużyła się do tego stanu jesienna zima. Ruch turystyczny mocno wyhamował, na szlakach pojawili się pojedynczy turyści, ot parę osób na Kasprowym, na Hali Miziowej, trochę więcej na Jaworzynie Krynickiej. Gdy po 20.10. zaczęło mocno wiać, Kasprowy całkiem opustoszał za sprawą unieruchomienia kolejki linowej. Nagły spadek ruchu turystycznego w górach w drugiej połowie października został spowodowany nie tylko zimowymi warunkami, ale także skokowym wzrostem pandemii koronawirusa. Ludzie trochę się tym przejęli i zostali w domach. Opustoszały Krupówki, opustoszały szczawnickie bulwary nad Grajcarkiem i deptak w Karpaczu, kamera na Śląskim Domu skierowana na Śnieżkę pokazywała ledwo kilka osób zamiast tłumu „zdobywców” tej góry wędrujących brukowaną drogą na szczyt. Już po wspomnianej akcji pod Rysami w górach zrobiło się spokojnie, można powiedzieć, że tym razem zmiana warunków na zimowe pozwoliła ratownikom na chwilę wytchnienia. Dlaczego „tym razem”? Ponieważ najczęściej, gdy jesienią w góry zawitała zima, ruszali na szlaki rozmaici „poszukiwacze przygód”, którzy nader często stawali się „klientami” GOPR i TOPR. Byłoby dobrze, gdyby ten trend małego ruchu turystycznego i wycieczkowego w górach utrzymał się jak najdłużej. Odpoczęliby ratownicy, odpoczęłaby przyroda, niedźwiedzie zamiast szwendać się po obrzeżach Zakopanego dokończyłyby jesiennie „obzarstwo” i spokojnie poszły spać nie niepokojone przez tłum wylewający się z kolejek linowych.

Ale my tu gadu, gadu, a gdzie jakieś wnioski? Wniosek jest tylko jeden, powtarzany przez ratowników od niepamiętnych czasów. Do każdego wyjścia w góry czy niskie, czy wysokie trzeba się odpowiednio przygotować. Niemieccy turyści chyba o tym zapomnieli. Do tego trafili na szczególnie niekorzystne warunki, na świeży śnieg niezwiązany z podłożem, maskujący teren i usuwający się spod butów. O trudnościach na szlaku może świadczyć choćby ilość ratowników zaangażowanych w wyprawę. Poszczególne zespoły ratowników musiały się zmieniać, by zastąpić zmęczonych kolegów. To szczególnie niekorzystne pogodowe i terenowe warunki powodowały zmęczenie i konieczność uzupełniania składów zespołów. A przecież ratownicy to nie „turyści amatorzy”, że użyję tego dziwnego sformułowania. Jest niemal pewne, że w normalnych zimowych warunkach – dobrej widzialności, stabilnej pokrywie śnieżnej, możliwości użycia helikoptera akcja trwałaby

kilka godzin albo i mniej, a nie kilkanaście. To samo dotyczy nas, turystów. Idąc w góry zimą, a ta już za progiem, bierzmy pod uwagę wszelkie okoliczności pogodowe i terenowe, zapomnijmy jak to latem czy jesienią miło się wędrowało w słońku po suchych górskich ścieżkach. Trzeba się mentalnie i sprzętowo przestawić na całkiem inne chodzenie.

Na koniec ważna informacja. *TOPR znajdzie twój smartfon w górach. Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe już od długich miesięcy testuje rozwiązanie umożliwiające odnajdywanie zagubionych trekkingowców i innych osób wymagających pomocy w polskich górach wysokich. Dysponując IMSI catcherem, jednostka TOPR może namierzyć odbiornik GSM z odległości 1150 m. Obszar roboczy urządzenia to 70650 m². Odnaleziony sygnał umożliwia sprecyzowanie współrzędnych GPS, w które zostaje wysłana ekipa ratownicza. Istnieje też możliwość zdalnego włączenia dzwonka urządzenia, co dodatkowo ułatwia zlokalizowanie człowieka będącego w potrzebie. TOPR uzyskał wszelkie zgody i pozwolenia na używanie tego systemu. Zastosowanie systemu nie oznacza, że każdy turysta może być w każdej chwili zlokalizowany. Zasięg jest jednak ograniczony. Mimo to jest to ważne narzędzie ułatwiające odnalezienie poszukiwanej osoby.*

Tytułowa jesienna zima trwała w Beskidach i Karkonoszach ok. 10 dni, mniej więcej od 12 do 22–23 października, kiedy w góry na kilka dni wróciła piękna słoneczna pogoda. W Tatrach, oczywiście dłużej, ale także w szczytowych partiach Babiej i Piłska leżał jeszcze śnieg. Na szczęście poza fatalną wyprawą niemieckich turystów na Rysy w górach panował spokój. Byłoby dobrze, gdyby wszyscy wybierający się zimą w góry, zwłaszcza w wysokie partie Tatr, dopasowywali planowane trasy do swoich umiejętności, doświadczenia, posiadanego wyposażenia i wiedzy, jak się nim posługiwać. To ważne, bo np. chodzenia w rakach trzeba się nauczyć, a zahaczenie rakiem o rak zgubiło już niejednego turystę i wspinacza.

Jest grudzień i najkrótsze dni. Wyjścia w góry trzeba planować zupełnie inaczej niż latem i jesienią. Pewnie mało kto zdecyduje się na grudniowy wypad w góry, a ci, którzy to zrobią, niech dobrze przemyślą, jak się do tego przygotować. To nie jest czas na całodniowe wycieczki kończące się o godz. 18, 20 czy 22. Godzina 16 to granica bezpieczeństwa, a godzina 18 to w wielu przypadkach godzina alarmowa. W niższych górach, na łatwych szlakach w dolinach lub grzbietowych dojsiach do schronisk, można sobie pozwolić na wędrowkę kończącą trasę, ale tylko w dobrych warunkach pogodowych i terenowych – bez opadów, bez mgły, przy księżycu i na przetartym szlaku. W wysokich partiach Beskidów i Karkonoszy, Masywie Śnieżnika, w Bieszczadach, o Tatrach nie wspominając, należy się wystrzeżać wędrowania po zmroku. Pamiętajmy także o tym.

Dwa oblicza jesieni na Hali Lipowskiej



10.10.2020. Fot. Juliusz Wystouch



15.10.2020. Źródło: facebook schroniska na Hali Lipowskiej

Juliusz Wystouch

Zamek Uhrovec

W poprzednim odcinku opowieści o słowackich zamkach, poświęconym zamkowi Beckov („NS” nr e-168), dość obszernie opisałem postać Ścibora ze Ściborzyc, potężnego magnata węgierskiego polskiego pochodzenia, „pana całego Wagu” w czasach króla Zygmunta Luksemburczyka. Jak się okazuje, Ścibor nie był jedynym członkiem rodu herbu Ostoja, który związał się z dworem w Budzie. Jego brat Andrzej uzyskał tytuł barona węgierskiego i stanowisko wojewody trenczyńskiego. Syn Andrzeja Ścibor (w dokumentach jako *Stibor de minori Stiboric*) został z czasem biskupem Egeru. Sam Andrzej natomiast swą siedzibę miał na zamku Uhrovec (węg. *Ugróc*).

Konia z rzędem temu, kto bez zaglądania do Googli lub Wikipedii powie, gdzie ten zamek się znajduje! Wśród Czytelników „NS” takich, którzy wiedzą, zapewne policzyłbym na palcach jednej ręki. Ale bez urazy! Ja również dopiero kilka lat temu zainteresowałem się tym obiektem. Nawet wielu Słowaków nie słyszało tej nazwy, a jeszcze mniej jest takich, którzy potrafiliby zlokalizować te ogromne ruiny i powiedzieć coś o ich historii.

Postaramy się więc nadrobić zaległości. W tym celu musimy dostać się do powiatowego miasta Bánovce nad Bebravou położonego u południowo-zachodnich podnóży Gór Strażowskich. Stamtąd lokalną drogą, doliną Radišy, jedziemy przez miejscowość Uhrovec do wsi Žitná-Radiša. Tu skręcamy w prawo (na wschód) w boczną dolinę potoku Omastiná, a wkrótce, w miejscu zwanym Karolintál, znów w prawo, w dolinę Podhradského potoku, do wsi Uhrovské Podhradie. Z górnej części wsi jeszcze tylko niespełna godzinka dość męczącego podejścia zielonym szlakiem (250 m różnicy wzniesień!)... i już stajemy przed jedną z największych ruin zamkowych, jakie udało mi się widzieć na Słowacji!

Nie wiadomo, kiedy dokładnie zaczęto budować zamek. Datę tę lokuje się w szerokim przedziale od przełomu XII i XIII w. po lata 60. trzynastego stulecia. Za jego fundatora uchodzi niejaki żupan Bášo. Pierwsza wzmianka pisana o zamku Vgrog pochodzi z dokumentu kapituły ostrzyhomskiej z 1295 r. W tym czasie swą potęgę w tej części Górnych Węgier budował znany nam już z zamku w Trenczynie („NS” nr e-167) Mateusz Czak. Historycy są zgodni co do tego, że ów „król Wagu i Tatr” przedstawił potomkowi żupana Bášy, Piotrowi, coś w rodzaju „propozycji nie do odrzucenia”, skoro ten zgodził się wymienić uhrovecki zamek wraz z dziewięcioma wsiami za jakieś niewiele warte nieruchomości Czaka w Tekovie (dolina dolnego Hronu) i symboliczną „dopłatę” w wysokości 50 grzywien. Potwierdza to zresztą inny dokument z Ostrzyhomia pochodzący z 1297 r.

Tzw. górny zamek zbudowano na rzadko stosowanym planie trójkąta. Ostra krawędź muru widoczna w murach po lewej stronie od wejścia, być może skrywa resztki najstarszej, trójkątnej wieży. Drugi wierzchołek trójkąta (południowo-zachodni) zajmuje brama wejściowa, zaś trzeci (wschodni) wysunięty na skraj zamkowej skały – kaplica. Skrzydło północno-wschodnie wypełnia najstarszy, romański pałac mieszkalny. Szczególną uwagę przyciąga



Zamek od strony wejścia, na pierwszym planie sucha fosa i most na kamiennych filarach

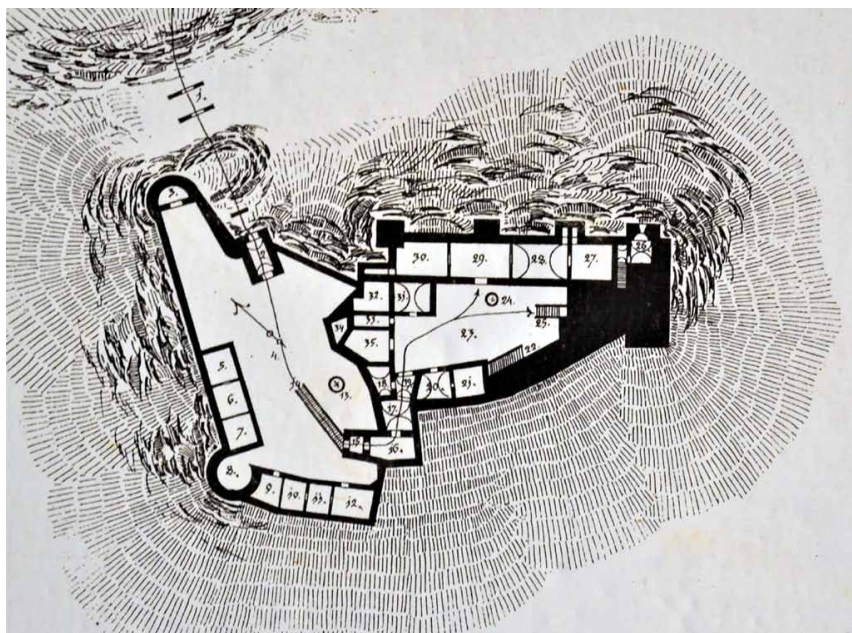
kaplica z półokrągło zamkniętą apsydą i masywną emporą przeznaczoną dla panów grodu. Należy do najstarszych obiektów tego typu na słowackich zamkach, a jej powstanie niektórzy archeolodzy i historycy umieszczają na przełomie XII i XIII w.

Po śmierci Czaka w 1321 r. zamek i wszystkie jego włości przeszły w ręce królewskie. Kilkadziesiąt lat później Zygmunt Luksemburski, którego pozycja na świeżo zyskanym węgierskim tronie była wyjątkowo chwiejna, darując zamek w 1389 r. komesowi Ściborowi ze Ściborzyc z Beckova, po raz kolejny zakarbił sobie przychylność tego potężnego magnata. Ściborowice posiadali odpowiednie środki na rozbudowę warowni, ale nie potrafimy dziś wskazać, jaki dokładnie był jej zakres – zapewne objęła ona zachodnią, gotycką część zamku górnego. Jak wiemy, wymarli „po mieczu” w roku 1434 i zamek wraz z podległym mu feudalnym „państwem”, obejmującym już wówczas miasto Bánovce oraz 21 wsi położonych w dolinach Bebravy i Radišy, wrócił w ręce króla. Zygmunt już w następnym roku ofiarował go swej małżonce, Barbarze Cylejskiej, która włądała nim do 1439 r., kiedy to odebrał go jej następca Luksemburczyka Albrecht Habsburg i przekazał z kolei swojej żonie Elżbiecie (skądinąd – rodzonej córce Barbary).

Kolejne dziesięciolecia, pomimo konsolidacyjnych wysiłków Macieja Korwina, stanowią trudny okres w historii Węgier zakończony tragiczną klęską poniesioną w bitwie z Turkami pod Mohaczem w 1526 r. W tym czasie (co najmniej od 1453 r.) Uhrovcem włądał wpływowy magnat pochodzący z Liptowa Pongracz ze Św. Mikołusza. Pongraczom przypisywana jest rozbudowa zamkowych umocnień, ale także – co wówczas było dość powszechnym procederem w państwach o niewystarczająco silnej władzy centralnej – bicie w zamkowych podziemiach fałszywej monety. Po Pongraczach „państwo” dzierżawiła m. in. rodzina Danffych z Dobozu.

Z walk toczonych z Janem Zápolyą o koronę węgierską Ferdynand I Habsburg wyszedł jako zwycięzca, ale stojący na skraju bankructwa. Potrzebując pilnie pieniędzy, już w 1533 r. zastawił uhroveckie majątki u Piotra Szilágyi’ego, zaś ten je w 1545 r. testamentem przekazał swojej małżonce Brygidzie z Vršatca i ze Slopnej. Za jego czasów przebudowano zamek górny, nadając mu już cechy renesansowe. Na terenie gospodarczego podgrodzia u jego zachodniego podnóża wzniesiono mury zamku dolnego, wzmacniając je dwiema okrągłymi basztami przystosowanymi już do broni palnej. Według przeprowadzonego później „audytu” materiały i robocizna prac murarskich były warte 4 tysiące złotych dukatów, prace ciesielskie 500 dukatów, a wykucie cysterny na zamku dolnym oraz suchej fosy przed jego wejściem kolejny tysiąc.

Małżeństwo Szilágyi’ch pozostało bezdzietne. W obowiązującym wówczas na Węgrzech prawie feudalnym obowiązywało tzw. odumarcie, czyli zasada, że małżonka nie ma prawa dziedziczyć po mężu królewskich majątków. Korzystając z tego, władca nakazał wdowie opuścić Uhrovec, darując go w 1547 r. swemu zaufanemu dworzaninowi Franciszkowi Zay’owi. Pani Brygida nie chciała jednak oddać zamku: wskazywała,



Plan zamku w XVI/XVII w.; po lewej zamek dolny, po prawej – górny (schemat na ekspozycji zamkowej w 2020 r.)



Makieta zamku w XVI/XVII w. (na ekspozycji zamkowej w 2020 r.)

że zgodnie z umową należy jej się zwrot kwoty zastawnej oraz zwrot kosztów poniesionych przez lata na rozbudowę zamku i utrzymywanie zamkowej załogi. Dodatkowo w 1552 r. wyszła ponownie za mąż, za Mikołaja Kostkę, pana na zamku Lietava położonym na północnym krańcu Gór Strażowskich, co początkowo znacznie wzmocniło jej pozycję prawną. Niestety. Kostka, jak się wkrótce okazało, wykorzystał małżeństwo jedynie do zagarnięcia majątku: ograbił, ile się dało *włości*, zawładnął podstępem kosztownościami żony, a starzejącą się Barbarę zamknął w izolacji w swoim zamku.

Zayowie dopiero w 1555 r. mogli poczuć się w pełni panami Uhrovca i zająć rozbudową siedziby. Sam Franciszek Zay *aż do swojej śmierci w roku 1570 mało jednak przebywał na zamku, pełniąc służby w interesach korony daleko od domu*. Uhrovec, położony na uboczu, schowany głęboko w górskiej dolinie, nie ucierpiał ani w czasie napadu Turków na tę część Górnych Węgier w 1663 r., ani podczas powstania kuruców Thököl'ego kilkanaście lat później, służąc jako schronienie dla okolicznej szlachty oraz ich kosztowności i rodowych dokumentów. Z biegiem XVIII w. jego rola zaczęła jednak upadać. Spadkobiercy właścicieli przenieśli się do nowego kasztele w dolinie (dziś wieś Uhrovec), utrzymując na zamku jedynie niewielką załogę i... pomieszczenia służące za więzienie. Chociaż wzajemnie oskarżali się o brak troski o zamek, jeszcze w 1802 r., wiedzeni sentymentem do rodzinnego gniazda zainwestowali w naprawę gontowych dachów zamku, zmiecionych przez wicher.

W czerwcu 1848 r. zamek spłonął i od tego czasu nie był już odbudowywany. W roku 1885 zamek odwiedził rysownik Teodor Dörre. Jego rysunki dokumentują jeszcze wiele elementów i detali architektonicznych (kamienne portale, kominki itp.), które do naszych czasów już nie dotrwały. Na widoku zamkowej kaplicy widzimy jeszcze mense ołtarzową, wejście do krypty i poligonalną, renesansową ambonę, która zniknęła dopiero w latach 50. XX w.



**Apsyda kaplicy zamkowej
(najstarsza faza budowy zamku)**



Dziedziniec zamku górnego

Dziś to, co kilkaset lat temu było atutem zamku, czyli peryferyjne położenie oraz usytuowanie na wysokim wzniesieniu jest jego przekleństwem. Turyści dość rzadko tu zaglądają. Państwo przez dziesięciolecia nie miało pomysłu i środków na jego zagospodarowanie. Powstałe w 2015 r. Občianske združenie Hrad Uhrovec (Obywatelskie Stowarzyszenie zamek Uhrovec) postawiło sobie za zadanie, we współpracy z państwowymi służbami konserwatorskimi, przywrócić zamek do życia. Ruiny, dostępne jedynie wąską i stromą drogą jezdnią, są jednak „trudnym przeciwnikiem”: nie ma tu prądu, wody i kanalizacji. Prace wykonywane są głównie systemem gospodarczym, w większości siłami społecznymi. Na pierwszy plan poszło zadanie ważniejszych pomieszczeń, by nie dopuścić do dalszych zniszczeń murów. A gdzie reszta?

Zachęcam czytelników, by podczas najbliższej podróży przez Słowację nadłożyć kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt kilometrów i zajrzeć na zamek Uhrovec. Wyjątkowo wygląda z jego ruin zachód słońca malującego na czerwono skaliste turnie Rokoša! A dątek, złożony przy wejściu, na pewno odrobinę zwiększy szanse na zachowanie tej wyjątkowej pamiątki dla następnych pokoleń.

Miroslaw J. Barański

Bogda i Mietek zapraszają w Kotlinę Kamiennogórską

W połowie sierpnia, w okolicach Święta Wniebowzięcia NMP pogoda najczęściej dopisuje. Dla nas, górólazów, pogoda jest zawsze – bo my jesteśmy zawsze odpowiednio ubrani i przygotowani do wędrówki. Nie lubimy skrajności, jedyne, czego wolelibyśmy nie zaznać, to deszcz, a zwłaszcza mgła. Ale właśnie w połowie sierpnia pogoda nam odpowiada. To był jeden z powodów, dla których spotykamy się na tzw. letnich spotkaniach rodzinnych. W swoim czasie ideę takich spotkań wymyślił nasz przyjaciel z Międzygórza, Boguś Stecki. Idea przyjęła się i oto w tym nietypowym, koronawirusowym roku spotkaliśmy się na piątym już Letnim Krajoznawczym Spotkaniu Rodzinnym. Bogda i Mietek, znani przewodnicy sudeccy, zaprosili nas do Kotliny Kamiennogórskiej, w ten jej mało uczęszczany fragment przy granicy z Czechami. Z wiadomych, koronawirusowych względów, za dużo nas nie było, ale ci, co przyjechali, cieszyli się, gdyż te okolice jakoś tak były przeważnie poza szlakami, które przemierzaliśmy. Nadarzyła się więc okazja, by uzupełnić naszą znajomość z Sudetami.

Zbiórkę wyznaczaliśmy sobie w Wałbrzychu przy nieczynnym hotelu Sudety. Tam, zgodnie z planem, miał czekać bus, którym mieliśmy spokojnie, wszystkim znanymi drogami przejechać do Kamiennej Góry, by poznać jej najważniejsze zabytki i obiekty, a potem pojechać do Jarkowic do naszej bazy w schronisku „Srebrny Potok”. Plan był jasny, logiczny, zjeżdżaliśmy do Wałbrzycha przekonani o nieuchronności sprzyjającej sierpniowej pogody...

A tu niespodzianka! Bo nad Wałbrzychem, w godzinach naszej zbiórki i wyjazdu, rozpuściła się potężna burza, która sparaliżowała miasto, zatopiła ulice, zmoczyła doszczętnie wszystko i nas też. Cały misternie ułożony plan legł... w potopie. Mało kto uwierzy, że z największym trudem wyjechaliśmy z miasta, bo ulice stały się jeziorami, a te, gdzie woda nie ustała, były fatalnie zniszczone. Jakoś wydostaliśmy się z Wałbrzycha, ale udaliśmy się już bezpośrednio do Jarkowic – nie było sensu zwiedzać Kamiennej Góry w ulewnym deszczu. Było więc więcej czasu dla nas, by się wysuszyć, spokojnie zakwaterować, ochłoniąć. Ten dzień i ten przejazd zapamiętamy – niezwykle piątek, 14 sierpnia 2020 r.

A w sobotę od rana – miło, przyjemnie... Zależeliśmy tylko od siebie i od naszych nóg, więc nie musieliśmy kurczowo trzymać się zegarka. Dobrze po 10. weszliśmy na szlak przy sklepie w Jarkowicach. Nasz cel – Zadzierzna (724 m n.p.m.), jedno z najwyższych wzniesień Bramy Lubawskiej. Nazwa jej ciekawa, sugeruje, że lepiej z nią nie zadzierać. Rzeczywiście, podejścia robią wrażenie, stromizny dają w kość, ale jej nazwa wywodzi się od nazwy niewielkiej rzeczki Zadrny, tak przynajmniej twierdzą znawcy. Na szczycie czekała na nas nagroda – piękna



Przystanek autobusowy w Niedamirowie

panorama z zalewem Bukówka u podnóża i wylaniającą się zza Grzbietu Lasockiego królową Sudetów – Śnieżką. Jedyne co psuło nam humor, to zbliżające się groźne symptomy zmiany pogody na gorsze. Gdy byliśmy na koronie tamy spiętrzającej groźny Bóbr, zaczęły nadciągać czarne chmury, deszcz i grzmoty. Było już dość późno, do bazy całkiem jeszcze daleko, więc wezwaliśmy na pomoc naszych samochodziarzy – mieliśmy wszak w pamięci wczorajszy burzowy koszmar. Dzięki temu po pierwsze – nie zmokliśmy, po drugie – mogliśmy po ludzku przystąpić do obiadokolacji i po trzecie – zachowaliśmy dużo sił na typowy dla nas rodzinny wieczór trwający do kawał po pierwszej w nocy. Humory dopisywały, gardła też, gitara napracowała się, by wszystkim dogodzić. Dla takich wieczornych posiadów w gronie przyjaciół warto jechać przez pół Polski!

Krótką noc z soboty na niedzielę nie pozwoliła na należyty wypoczynek, ale słońce za oknem i perspektywa górskiej wędrówki szlakami Polski i Czech dość skutecznie wypędziły nas z łóżek. Wyszliśmy na szlak trochę później, niż było w planie, ale dość prędko nadrobiliśmy zaległości. Przeszliśmy czerwonym szlakiem z Jarkowic do granicy polsko-czeskiej, przecinając w poprzek Grzbiet Lasocki, będący najniższym, ale za to najlepiej zachowanym pod względem przyrodniczym pasmem Karkonoszy. Wiemy, dlaczego tak jest – turystów jest tu pewno z kilkanaście razy mniej niż na szlakach między Jakuszcycami a Przełęczą Okraj. Przykra to refleksja i niezbyt dobrze świadcząca o turystach, ale im mniej uczęszczane góry, tym mniej zniszczone. Ciekawe, czy jest możliwe takie współistnienie gór i turystów, by góry były całe i turyści syci? Tak, tak, wędrówkami górnymi szlakami sprzyjają takim refleksjom.

Po dojeździe do granicy poszliśmy zielonym szlakiem granicznym – zwyczajem czeskim wyasfaltowanym – do przygranicznej wsi Alberice. Zatrzymaliśmy się w przydrożnej restauracji...Najedliśmy się i napiliśmy do woli za złotówki, było smacznie, słonecznie i sympatycznie. Ten błogi czas musiał się jednak nieuchronnie skończyć, ruszyliśmy w drogę powrotną do Polski. Już po kilkuset metrach doszliśmy do starego wapiennika z II poł. XIX w. Jest dobrze zachowany, przysposobiony do zwiedzania, niestety, odrzwia zamknięte, a nie było czasu, by szukać kustosza tego muzeum – tak, tak, muzeum, bo tu mieści się Muzeum Vapenka. Ot, Cześci. Może i jarkowicki wapiennik kiedyś dostąpi tego zaszczytu. Takie stare budowle warto wykorzystywać – znamy przykład wapiennika w Kletnie niedaleko Stronia Śląskiego – więc i w Polsce to możliwe. Doszliśmy do Niedamirowa, a tu absolutna sensacja! Przystanek autobusowy jak z bajki – i to z bajki Gaudiego. Czegoś takiego nie widzieliśmy. Warto tu przyjechać choćby tylko po to, by zobaczyć ten przystanek. To Ekochatka, zaprojektowana przez Stowarzyszenie Niedamirów – Wioska Cudów, wykonana wg koncepcji i aranżacji artystycznej malarki Beaty Justy przez dzieci! Ręce same składają się do okłasków. W Niedamirowie mają bardzo dobre pomysły, dużo entuzjazmu i pewno przy okazji dużo dobrej zabawy. Myślę, że niedamirowianie dobrze wykorzystują fakt, że są tak daleko od Warszawy!

Rodzinną niedzielę spędziliśmy w sposób dla nas najlepszy – na szlaku. Ale to nie wszystko, co dla nas najlepsze. Po obiadokolacji i chwili odpoczynku zasiedliśmy wokół ogniska. Zaśpiewaliśmy co prawda tylko kilka piosenek przy dźwiękach gitary, bo kontrast termiczny wokół ogniska i wilgoć bardzo szkodziły gitarze, a i nasze coraz starsze oczy całkiem marnie widziały to, co w śpiewnikach, ale za to te drobne mankamenty wynagrodziło gwiazdzone niebo nad nami. Droga Mleczna na wyciągnięcie ręki, przyjaźnie mrugające do nas gwiazdy układające się we wspańnięte konstelacje nieba letniego...Trwał jeszcze festiwal Perseidów – jednego z najbardziej widowiskowych rojów meteorów, więc każdy z nas ukradkiem zerkał co chwilę w niebo, by ujrzeć



Autor w roli sędziego

świetlistą smugę i pomyśleć życzenie. Ja ujrzałem takiego „perseida”, że wystarczył chyba dla pięciu życzeń. A na deser – zza grzbietu Pańskiej Góry wyłoniła się królowa dzisiejszego nieba – Wenus. Czy jest ktoś wśród nas, co te cuda zapomni?!

W poniedziałek po dobrym śniadanku opuściliśmy gościnne progi „Srebrnego Potoku”, udając się na wycieczkę objazdową po Kotlinie Kamiennogórskiej. Wiedzieliśmy, że będzie ciekawie, wszak program wycieczki układali Bogda i Mietek, ale mało kto przeczuwał, jakich wrażeń krajoznawczych i historycznych dziś doznamy. Uprzedzę fakty i wymienię w kolejności atrakcje, które nawiedziliśmy: „Dwunastu Apostołów” w Chełmsku Śląskim, stół sędziowski w Kochanowie, Głazy Krasnoludków, Diabelską Maczugę, a także Krzeszów i Kamienną Górę. Było co zobaczyć, jest o czym pisać!

Więc po kolei. Chełmsko Śląskie to dziwna miejscowość - bo wygląda jak miasto, a jest wsią. Na nic zdało się prawie 600 lat bycia prężnym, bogatym i o bogatej historii miastem – po II wojnie światowej zostało bezwzględnie zdegradowane do pozycji wsi i tak jest do dzisiaj. Ale charakter miejski widać na każdym kroku. Piękny rynek – pochyły, dużo tu schodów – otoczony rzędami zabytkowych kamienic. Szczególnie cenne, uznane za zabytek, są kamienice z podcieniami stojące w północnej pierzei rynku. Nad rynkiem, na wysokim cokole, czuwa dość nietypowy Nepomucen. Godny zwiedzenia jest barokowy kościół p.w. Świętej Rodziny, a w nim późnogotycka – ok. 1500 rok – rzeźba Koronacja Najświętszej Marii Panny. Ale tym, z czego najbardziej słynie Chełmsko Śląskie jest, pochodzący z 1707 roku, a zaliczany do dziesięciu najciekawszych na ziemiach polskich zabytków architektury drewnianej, zespół domów tkaczy, tzw. „Dwunastu Apostołów”. Gdy miasto podniosło się z upadku po wojnie trzydziestoletniej i ogromnym pożarze w 1629 r., postawiono na chałupnicze tkactwo lnu. Przyniosło to wspaniałe efekty – produkowane tu znakomite płótno rozchodziło się po całej Europie, a nawet docierało do Ameryki; to była w ówczesnych czasach całkiem efektywna inwestycja. Dziś jest to wspaniały zabytek, chroniony i konserwowany, w niektórych domkach do dziś mieszkają całe rodziny. W domku Jakuba znajduje się muzeum i rzeczywista siedziba stowarzyszenia, na którego czele stoi od dawna wybitna znawczyni historii tych chat, lnu i tkactwa, pani Teresa Sobala. Dużo dowie się ten, komu p. Teresa zechce poświęcić czas i przekazać swoją ogromną wiedzę!

Z Chełmska Śląskiego do Kochanowa niedaleko, a tu jedyny w Polsce kamienny stół sędziowski z kamiennymi siedziskami. Obiekt jest zadbane, ogrodzony, opisany...cóż, przecież to unikat w Polsce i Europie. Usiadłem, trochę z naruszeniem zasad zwiedzania, przy tym stole, na miejscu sędziego, ale ciarki chodziły mi po plecach, gdy wczułem się w sytuację sądowniczą. Z tej sali średniowiecznego sądu w kilkanaście minut przenieśliśmy się do świata o wiele, wiele starszego i na dodatek...bajkowego. Brzmi to dość tajemniczo, więc prędko wyjaśniam – znaleźliśmy się w rezerwacie „Głazy Krasnoludków”. Ładnie nazwane, tak jak wszystkie tego rodzaju osobliwości przyrodnicze, może nawet najładniej? Cóż, nazwa to sprawka człowieka, ale te piękne skały, ich kształty, wzajemne ułożenie to już tylko i wyłącznie dzieło przyrody. Przyroda wystąpiła tu jako artysta, który nie tytułuje swych dzieł, dzięki czemu każdy z nas, dysponując swoją wyobraźnią, mógł rzecz widzieć i nazywać po swojemu. Tych krasnoludków jest tu mnóstwo, nie do policzenia. I wszystkie razem. A tu jeden z nich, jakiś ostaniec – odszczepieniec, odłączył się od braci i stoi sobie samotnie w szczerym polu (a dziś przy szosie)! Jak to się stało, że on tu sam tak stoi i patrzy z góry na kamienie, kamyki i inną drobnicę zalegającą okolicę, nigdy się nie dowiemy. Przyroda nam tego nie



To krasnoludki czy głowy polskich prezydentów?

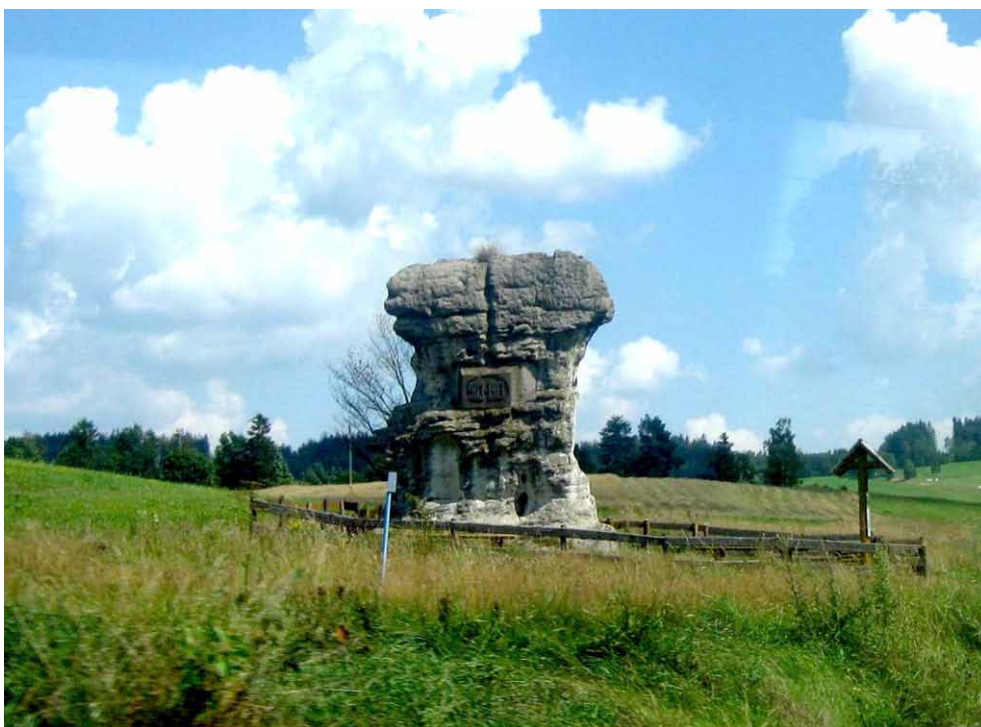
wyjaśni. Więc może łatwiej jest obarczyć winą za ten stan rzeczy diabła, stąd chyba nazwa tej niepospolitej skały – Diabelska Maczuga. Ktoś niegdyś, w 1913 roku wymyślił, by tę skałę wykorzystać dla upamiętnienia „bitwy narodów” pod Lipskiem w 1813 r. Myślę, że gdyby ten ostaniec umiał mówić, opowiedziałby o swojej podwójnej krzywdzie – i poskarżyłby się i na nazwę i na tablicę.

Ostatnie dwie atrakcje naszego spotkania to oczywiście gwoździe programu każdej tzw. szanującej się wycieczki w te strony. To Krzeszów i Kamienna Góra. To miejsca o olbrzymim znaczeniu historycznym, wszyscy o nich słyszeli, każdy chce tu zjechać. Dla nas, obieżyświatów, to miejsca bardzo znane, większość z nas bywała tu wielokrotnie. Więc tylko, gwoli kronikarskiej ścisłości – byliśmy w Krzeszowie, by po zwiedzeniu tej perły dolnośląskiego baroku zakończyć spotkanie krótką wędrówką po Kamiennej Górze. Nie będę rozpisywał się o tych niezwykłych miejscach – wybitniejsi napisali wystarczająco dużo. Ale o jednym znawcy muszę tu napisać. To nasz przyjaciel Mietek, przewodnik sudecki, który z właściwym sobie profesjonalizmem i znawstwem tematu podpartym wybitnym krasomówstwem opowiedział nam o tych niezwykłych miejscach – detali i anegdot nie brakowało.

I tak, w Kamiennej Górze, zakończyło się nasze 5. Letnie KSR. Miało się zacząć tu w piątek, ale natura zmieniła nam kolejność. I było jak u Hitchcocka – zaczęło się od burzy, a potem atrakcji już tylko przybywało. To było spotkanie, na którym działo się dużo i na ziemi i na niebie. Rozstawaliśmy się jako całkiem dobrzy znawcy Kotliny Kamiennogórskiej. I jednocześnie spokojni o nasze dalsze losy, bo już za dwa miesiące spotkamy się na Warmii. Nosi nas po Polsce!

Było nas niewielu – ale chyba jeszcze nigdy w historii naszych spotkań tak niewielu zobaczyło tak wiele! Dla naszych przyjaciół Bogdy i Mietka – ogromny szacun !

Sławomir Chojnacki



Diabelska Maczuga

Obchody wiktorii roku 1920

Rzutem na taśmę odbyło się spotkanie w pałacu w Strudze poświęcone obchodom zwycięstwa Polaków w bitwie 1920 roku. Piszę rzutem na taśmę, gdyż sytuacja związana z panującą epidemią jest tak rozwojowa, iż dzisiaj nie byłoby szansy na zrealizowanie opisywanego spotkania. Na szczęście udało się doprowadzić do końca pracę wielu ludzi i stowarzyszeń zaangażowanych w upamiętnienie tego jakże ważnego wydarzenia.

„Nasza Wiktorija roku 1920-go” to podróż przez historię, tożsamość miejsca, ludzkie biografie, przez Dolny Śląsk, który od wieków gości walczących o wolność i niepodległość patriotów. Tak napisano na plakacie, a tak właściwie to program obejmował warsztaty historyczne, teatralne oraz międzypokoleniowy reportaż teatralny.

Jeśli chodzi o organizatorów to w przedsięwzięcie zaangażowane były cztery stowarzyszenia: Fundacja Via Salutis, Fundacja św. Jadwigi w Morawie, Fundacja Pałac Struga oraz Dolnośląskie Towarzystwo Miłośników Zabytków. Jeśli chodzi o środki niezbędne do przeprowadzenia spotkania pozyskano je z dofinansowania Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2022 w ramach Programu dotacyjnego „Koalicja dla Niepodległej”.

Uczestnicy spotkania w podróż po historii zostali poprowadzeni przez Alicję Przepiorską (autorkę projektu) oraz Janinę Chochłakiewicz, która całość wyreżyserowała. Wykonawcami poszczególnych scenek byli: uczennice Liceum Sióstr Niepokalanek: Julia Sobczak, Nikoli Dardzińska i Katarzyna Góralewicz; uczniowie II LO w Wałbrzychu: Juli Baran, Zofia Kirklewska i Julia Kamińska; uczniowie III LO w Świdnicy: Aleksander Rudownik i Wiktoria Staszak. Wystąpili także: Patryk Szczerba, Robert Matwiejów, Wiesław Łabęcki, Tadeusz Guran, Róża Stolarczyk, Antonina Czyż, Barbara Dębska, Joanna Luklińska oraz siostra Wirginia.



Cały spektakl podzielony na sceny prezentowane w kolejnych pomieszczeniach remontowanego pałacu w Strudze obejmował wiele tematów z omawianego okresu. Były to zarówno sceny dokumentalne jak



i poświęcone życiu codziennemu mieszkańców. Najważniejszym było uświadomienie przedstawicielom obecnego pokolenia, jak ważna była dla Polaków Ojczyzna tuż po odzyskaniu niepodległości. Pokazała to młodzież walcząca podczas obrony Lwowa w 1919 roku. Zginęło wówczas 1421 dziewcząt i chłopców – dzieci, bo przecież mieli oni od 9 do 17 lat. Nic dziwnego, że cmentarz, na którym ich pochowano otrzymał nazwę „Orląt Lwowskich”. Tak,

to właśnie dzieci uświadomiły swoim heroizmem dorosłym, że nie można być beczynnym, kiedy Ojczyzna jest zagrożona. To dzieci pokazały całemu światu, że są gotowe oddać swoje dopiero co zaczynające się życie za wolność Polski.

Dlatego też ta część spotkania poświęcona tym młodym ludziom wywołała najwięcej wzruszeń. To dla nich, dla uczczenia ich pamięci, napisano wiele pieśni i skomponowano stosowne melodie. Odśpiewane pieśni i pogadanka uświadomiły wszystkim, że tak naprawdę to bohaterstwo tych dzieci porwało pozostałych do walki. Niestety, one przyplącały to życiem. Dlatego dzisiaj naszym obowiązkiem



jest zachować pamięć o nich, o tych, którzy nie myśleli o sobie – myśleli o Ojczyźnie.

Inny temat poruszyła siostra Wirginia. Opowiedziała o przybyciu w roku 1919 do Jazłowca ułanów, którzy przybyli pod mury klasztoru. W pewnym momencie jeden z ułanów trafiony kulą spada z konia na ziemię. Dowódca oddziału spostrzega, że od strony klasztoru po złotym promieniu schodzi do rannego piękna niewiasta, cała w bieli



i, pochylając się nad żołnierzem, coś do niego mówi, a następnie wraca z powrotem do siebie. Oficer, chcąc dowiedzieć się co się stało, podąża w stronę bramy klasztornej. Gdy wspiął się na wzgórze, puka i czeka na otwarcie drzwi. Po chwili wrota się otwierają i pojawia się w nich kobieta w bieli. Ale nie jest to ta sama pani, która pocieszała rannego ułana. Prowadzi ich do kaplicy, gdzie na umieszczonym w ołtarzu obrazie matki Boskiej Jazłowskiej rozpoznaje ową białą panią. Mówi wtedy: tak, to ją widziałem na polu walki, to ona przyszła zamknąć oczy naszemu koledze poległemu w bitwie.

Kolejnym elementem przedstawienia było zaprezentowanie przez Roberta Matwiejewa kolekcji broni używanej w tamtej epoce oraz odczytanie przez niego listu uczestnika walk do rodziny. Opisuje on w nim emocje, jakie przeżywa, uczestnicząc w walkach. Są one bardzo osobiste.

Tak samo jak kolejna relacja syna ochotnika walczącego w wojnie 1920 roku, który opowiada zarówno o walce swojego ojca jak i swojego wujka. Mimo że jest to opowieść bardzo osobista, przemawia ona do obecnych. Widać to po ich wyrazie twarzy. Obecne pokolenie, niestety, nie do końca posiada rzetelną wiedzę o minionym okresie. Nie zawsze bowiem ich rodzice odważali się im przekazywać takie informacje.

Podobne wspomnienia z dzieciństwa przekazała Róża Stolarczyk, córka kombatanta bitwy pod Radzymi-
nem z roku 1920, która opowiedziała o czasach, kiedy do ich domu rodzinnego przyjeżdżał kolega taty. Jak się okazało po II wojnie światowej los obu panów rzucił na te same tereny. Zamieszkali oni w Świdnicy i sąsiednich Świebodzicach. Przyjaźń jednak pozostała. Wciąż byli kolegami. Pan Kłobucki napisał po bitwie 1920 roku piosenkę, którą chciał uczcić swoich kolegów w niej uczestniczących. I właśnie są to najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa opowiadającej.

Przedstawiciele młodego pokolenia zaprezentowali wspomnienia uczestników bitwy, ich osobiste refleksje zawarte w listach pisanych przez nich do rodziny. Natomiast starsi podzielili się swoimi wspomnieniami



z dzieciństwa, kiedy to mieli okazję rozmawiać z uczestnikami bitwy. Były także wspomnienia o powstałych w tamtych czasach ochotniczych oddziałach kobiecych. Niestety, mimo ich poświęcenia w walce o Lwów, nie traktowano ich tak samo jak oddziały męskie. A ich odwaga i poświęcenie nie miały sobie równych.

Pod koniec spektaklu ogłoszono wiele ciepłych słów podziękowania skierowanych zarówno do organizatorów tej imprezy jak i poszczególnych wykonawców. Miały miejsce wspólne śpiewy pieśni patriotycznych. Ukoronowaniem spotkania było wspólne odśpiewanie hymnu Polski.

Krzysztof Tęcza

Ząb Daidarabo na Giewoncie

Doświadczyłem i zrozumiałem, że sztuka ma swoje prawa i różne formy wyrazu. Takim jest i performans, z którym pierwszy raz prawie trzydzieści lat temu spotkałem się podczas wernisażu wystawy w starej pijalni w Szczawnicy, później w Krakowie, a i w wykonaniu artystki słowackiej w Krościenku nad Dunajcem. Performans – dla jasności – to rodzaj widowiska, przeważnie teatralnego, z udziałem widzów, ale nie tylko. Spotkamy się z nim w dowolnym miejscu, które wybierze artysta, jest przeważnie i jego wykonawcą. Tworonym dziełem sztuki nie są przedmioty, ale czynności wykonywane przez artystę. Wspomniałem na początku o formie wyrazu. Takie przedstawienie nie ma ustalonego tekstu, tworzone jest na żywo.

Długi czas miałem dystans do takiego widowiska. Może dlatego, że nie zostałem wprowadzony w jego ramy i sam musiałem rozwiązywać reguły. W końcu dotarło do mnie, o co chodzi w tym widowisku, w którym na żywo można skonfrontować się z codziennymi schematami odruchów. Po co, zapytacie? Zrozumiałem, że wykonawcy chodzi o uwolnienie się umysłu od narzuconych przez tradycję reguł. Proste, próbujemy czegoś nowego, co jest już, jak się okazuje, procesem twórczym.

To wprowadzenie było potrzebne, żeby zrozumieć zjawisko, z którym co niektórzy mogli się spotkać wiosną 2019 roku w Tatrach. Wówczas to można było zobaczyć na szlaku trzech Japończyków idących na Giewont z gigantycznym zębem. Takiego dziwactwa jeszcze na tatrzańskich szlakach nie widziano i trudno dziwić się reakcji napotkanych turystów. Zjawisko to nie było przypadkowe, miało swoją formę wyrazu.

Japońska artystka Makiko Yamamoto przyjechała kiedyś do Zakopanego i zwróciła uwagę na Giewont, poznała legendę o śpiących rycerzach, która wydała się jej podobnie brzmiącą do podania o japońskim piętnastometrowym gigancie Daidarabo, którego ząb ma magiczne właściwości. Zainspirował artystkę zarys Giewontu, który przypomina śpiącego rycerza. Po powrocie do Kioto stworzyła taki ząb z zamiarem ofiarowania go... Giewontowi.

Gigantyczny trzonowiec powstał jako część instalacji Makiko Yamamoto. Artystka zafascynowana japońskimi legendami o gigantach Daidarabo przez pięć lat szukała różnych powiązanych przekazów w regionach, gdzie można było natknąć się na działania takich olbrzymów. Sama artystka tłumaczyła, że inspiracją jej wystawy „Giant Tooth” (Gigantyczny ząb) były japońskie legendy związane z gigantami. Jedną z legend głosi, że olbrzym Dadaboshi wykopał w Ominokuni ziemię, a nagromadzona ogromna jej ilość stała się górą Fuji, podczas gdy krater stał się jeziorem Biwa. To największe jezioro w Japonii znajdujące się



Makiko Yamamoto



Gigantyczny Daidarabo

na wyspie Honsiu, jego południowy kraniec oddalony jest zaledwie około dziesięciu kilometrów od Kioto. Nazwa kojarzy się mieszkańcom z kształtem instrumentu muzycznego, rodzajem lutni, zwanego biwa. Wybór Giewontu zatem nie był przypadkowy.

W piątek 24 maja 2019 roku, po uzyskaniu zgody dyrektora Tatrzańskiego Parku Narodowego Szymona Ziobrowskiego, dobrze przysto-



Ząb w drodze na Giewont

wana grupka z przewodnikiem, wyposażona w specjalne nosze do wnoszenia rzeźby, uprząże i sprzęt alpinistyczny wyruszyła na szlak. Dzięki temu udało się im wnieść ząb na sam szczyt Giewontu, a było co nieść. W przybliżeniu gipsowy ząb miał przynajmniej 120 cm wysokości i 80 szerokości. Z wyjścia na szczyt sporządzona została dokumentacja zdjęciowa i filmowa. Performans artystki odniósł zamierzony skutek, widok gigantycznego zęba na szlaku wywołał poruszenie wśród turystów. Właśnie ich reakcja była formą wyrazu tegoż artystycznego przedsięwzięcia.

Do Polski Makiko Yamamoto przyjechała w związku z Polsko-Japońską Wystawą Sztuki Współczesnej „Celebration” poświęconej stuleciu relacji polsko-japońskich. Artystka 18 maja 2019 miała wystawę w Kioto, dziesięć dni później z niecodziennym eksponatem powędrowała na Giewont, 31 maja w ramach Poznań Art Week zaistniała w Galerii na Dziedzińcu Starego Browaru, by zakończyć swoją przygodę 13 czerwca w Trafostacji Sztuki w Szczecinie.

Na tym nie koniec tegoż oryginalnego performansu, po powrocie do kraju Makiko Yamamoto olbrzymi ząb po prostu... wrzuciła do rzeki Kamo.

Ryszard M. Remiszewski

Artystka z maicznym zębem Daidarado



Ząb na wystawie w Poznaniu

CYTAT MIESIĄCA

Zawoja bardzo strzelista

Tym razem bohaterem cyklu jest **zdjęcie**, a nie cytat słowny, choć właściwie po części i owszem. W czołowym polskim portalu informacyjnym znalazł się materiał informacyjno-promocyjny dotyczący Małopolski ze wskazaniem na Zawoję. No i dobrze, niech będzie. Ciekawostką jest zdjęcie ilustrujące artykuł przedstawiające **widok** w kierunku południowo-wschodnim **na Tatry** z górnych partii południowego zbocza Babiej Góry, podpisane jednak „**Zawoja**”. No cóż, strach pomyśleć, co będzie, gdy ktoś mało zorientowany w terenie ruszy do Zawoi mając w pamięci widoczek zobaczony w tym materiale.

Juliusz Wyślouch

Przemysław Wiater (1958-2020)

Dr Przemysław Wiater przez mieszkańców naszego regionu kojarzony jest przede wszystkim jako historyk, kustosz, dyrektor Muzeum Karkonoskiego, radny miasta Szklarska Poręba. Także jako autor wielu ciekawych publikacji i książek, których treści nawiązują do historii tych ziem. Był także cenionym wykładowcą.



Dla nas jednak, jego znajomych i przyjaciół, Przemek był człowiekiem niezwykle pracowitym, był poszukiwaczem prawdy o dawnych czasach. Ale nie chodziło mu tylko o ukazanie czy udowodnienie jakiejś tezy, przede wszystkim chodziło mu o pokazanie, jak w minionych czasach żyli ludzie, którzy, by przetrwać, musieli walczyć z przyrodą, z zabobonami, w końcu z prozą życia codziennego. W swoich publikacjach pokazywał, jak ci dawni mieszkańcy tworzyli wokół swojego życia otoczkę mistycyzmu, jak swoje życie przeplatali zarówno z dawnymi przesądami, ale także jak swoimi działaniami powodowali, że inni, mówiąc o nich, czynili to z pewną dozą strachu, ale i podziwu. Mam tu na myśli Walończyków uważanych za pierwszych poszukiwaczy skarbów w Górach Olbrzymich.

Przemek nie tylko interesował się historią poznawania i wydobywania złóż kopalin, co w istotny sposób przyczyniało się do rozwoju przemysłu, ale interesował się także tym, jak ci ludzie, podejmując swoje poszukiwania, chronili się przed złymi mocami, co czynili, by im nie ulec. Oczywiście wiele osób wcześniej prowadziło już takie badania, ale Przemek, będąc osobą



życzliwą, czynną i chętnie pomagającą innym, dzielił się wynikami swoich badań w wydawanych publikacjach. Nic też dziwnego, że takie jego podejście spotkało się z uznaniem i mianowano go Kanclerzem Sudeckiego Bractwa Walońskiego.

Co ciekawe to fakt, że Przemek był człowiekiem, który nie różnicował swojego podejścia do innych z tytułu stanowiska. Zachowywał się tak samo jako kustosz czy dyrektor jak i jako osoba prywatna. To niezwykle rzadko spotykana cecha.

Można było z nim poroz-

mawiać o wszystkim, chociaż niektóre tematy były dla niego bardziej poruszające. W ostatnich latach swoją działalność skierował na ratowanie starego cmentarza w Szklarskiej Porębie. Organizował akcje porządkowania obiektu. I może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, przecież takich akcji w Polsce jest wiele, jednak ze względu na to konkretne miejsce podejmowana praca miała także wymiar symboliczny. Wszak na cmentarzu spoczywają nie tylko ludzie niezwykle zasłużeni dla Szklarskiej Poręby, ale także często ludzie wybitni, znani ze swojej pracy na całym świecie. I to jest właśnie to, co Przemek zawsze podkreślał – nie można odciąć się od korzeni, przecież ci ludzie byli mieszkańcami miasta i swoim autorytetem oraz działalnością pracowali na jego wizerunek.

Z moich osobistych spotkań z Przemkiem mogę powiedzieć, że był on człowiekiem skromnym, chętnie podejmującym współpracę i angażującym się w działalność dla regionu. Nigdy nie odmawiał dzielenia się swoją ogromną wiedzą czy udziału w różnego rodzaju imprezach. A jeśli chodzi o sprawy związane z Walończykami, rozmowa z nim nie miała końca.

Przemek podejmował także działania turystyczne, wymyślając różne imprezy, które w szybkim czasie stawały się kultowymi. Przykładem jest Rajd Flanela czy Rajd Retro. To, że uczestnictwo w tym spotkaniach sprawiało mu przyjemność, było dowodem na to, iż nie był to zwykły kaprys. Do każdej imprezy starał się przygotować. A podczas jej przebiegu zmieniał się z naukowca w normalnego uśmiechniętego człowieka.

Przemek za swoje podejście do badania historii Gór Olbrzymich został mianowany Członkiem Honorowym Gildii Przewodników Sudeckich im. W. E. Peuckerta, co jest bardzo rzadkim wydarzeniem. Jeszcze rzadszym jest powołanie na Rycerza Towarzystwa Zamku Wieczornego skupiającego w swych szeregach tylko osoby posiadające stosowną wiedzę oraz zamiłowanie do uczestniczenia w spotkaniach z pogranicza mistycyzmu. Bo tylko podczas takich spotkań można przeżywać coś niezwykłego, coś nad czym nie do końca ma się kontrolę.

Przemek Wiater, będąc człowiekiem wykształconym, nie odżegnywał się od praktyk tajemnych i jako zakochany w naszych górach już za życia stał się ich częścią. Dlatego też mógłby spokojnie zejść do „Młyna świętego Łukasza”, by podyskutować z pozostałymi uczestnikami tych niezwykłych spotkań.

Przemku, odszedłeś z tego świata, nie zobaczymy już Ciebie, ale na pewno spotkamy się w innym wymiarze. Tymczasem miej baczenie na nas, byśmy podczas kolejnych spotkań w Górach Izerskich szli właściwą ścieżką.



Krzysztof Tęcza

Jan Kozyriewski

Ojciec Jana Piotr był synem Teodora Kozyriewskiego, polskiego jeńca z bitwy pod Smoleńskiem w 1654 r., zesłanego do Jakucka nad Leną. Matką Piotra była Jakutka Akilina. Teodor służył w syberyjskim wojsku kozackim. Po uwolnieniu na mocy rozejmu andruszowskiego w 1667 r. oświadczył, że chce pozostać w Jakucku, za co otrzymał tytuł szlachecki *syna bojara* (w wojsku kozackim było to wyżej setnika). Wraz z oddziałem wojskowym zbierał podatki w wielu okolicznych osadach. Zajmował się dodatkowo handlem napojami alkoholowymi. Dostępność wina miała negatywny wpływ na zachowanie synów.

Piotr ożenił się z Anną, która urodziła trzech synów: Jana (w 1688 r. lub 1690), Piotra i Michała. W maju 1695 r. Piotr z żoną i synem Janem udał się na pielgrzymkę do kireńskiego Monasteru Troickiego nad Leną. Doszło tam do tragedii: ojciec chłopca, będąc w stanie nietrzeźwym, w kłótni nożem zabił swoją żonę. Chcąc uniknąć kary, Piotr wraz z synem uciekł i ukrył się we wsi nad górną Leną. Przez jakiś czas pomagał mu jego ojciec, przesyłając pieniądze. Ale skończyło się to, gdy Teodor wpadł w tarapaty pieniężne i aby uniknąć więzienia za długi, ukrył się w monasterze, przyjął święcenia zakonne i został mnichem o imieniu Awraamij. Piotr, pozbawiony pomocy ojca, ujawnił się przed władzami. Ponieważ świadkowie winą obciążyli Annę, Piotr został skazany tylko na chłostę zamiast kary śmierci. Wychłostany *knutem* (biczem) na placu targowym Jakucka, został wypuszczony na wolność pod nadzór kozaków. Nadarzyła się okazja: *sotnik* Timofiej Kobilew został mianowany *prikaczikiem* (a więc carskim zarządcą i poborcą podatków) Kamczatki. Piotr z synami pojechał z nim na Kamczatkę we wrześniu 1700 r. Gdy kozacy zbierali *jasak* (podatek w naturze, daninę), Piotr pracował nad wzniesieniem *ostrogu* (drewnianej twierdzy, fortu), nazwanego Niżniekamczatskim. Podobnie jak jego wykształcony ojciec Teodor, który badał i opisywał okolice Jakucka, Piotr też uważnie przyglądał się przyrodzie i ludziom Kamczatki. Sporządzał mapy, uzupełniał je informacjami o tubylcach. Według niektórych źródeł wszedł wraz z synem Janem na najwyższy wulkan Kluczewska Sopka (4750 m n.p.m., najwyższy wulkan Eurazji, najbardziej aktywny z 48 czynnych wulkanów półwyspu).

W 1705 r. Piotr wraz z oddziałem kozaków znalazł się na wyspie przy ujściu rzeki Karagi do morza w północnej części półwyspu. Tu zginął z rąk wojowniczych Koriaków, którzy nie chcieli podporządkować się władzy carskiej. Prawdopodobnie wtedy zginął też Michał – brat Jana. Wówczas Jan (Iwan) Kozyriewski i jego brat Piotr zostali przyjęci do oddziału kozackiego.

Oddział udał się na południe Kamczatki na *ziemię kurylską*, zwaną tak od plemienia Kurylców – tak wtedy nazywano Ajnów. (Kurylcy mówili o sobie: *kuru*, co znaczy człowiek, stąd nazwa). Gdy kozacy doszli do wysuniętego na południe przylądka Łopatka, zobaczyli, że dalej w morzu widać jakąś ziemię.

W 1707 r. na Kamczatkę jako główny *prikaczik* wrócił Władimir Atlasow, który wcześniej spowodował przyłączenie tej ziemi do Rosji. Zbierał on poprzednio od 1701 r. *jasak* szczególnie skutecznie, tym bardziej, że miał prawo do pozostawienia dla siebie towarów za 100 rubli (była to ogromna suma, równowartość wynagrodzenia kozaka za 10 lat). A że oprócz zbierania daniny rabował także kupieckie barki na rzekach, w Jakucku trafił do aresztu. Zbawił go bardzo bogaty *jasak*, przesłany carowi Piotrowi do Moskwy. Był bardzo potrzebny, bo trwała wojna północna ze Szwecją, armia zajmowała ziemie nad Bałtykiem. Za cenne futra i skóry



Jan Kozyriewski

z Kamczatki można było dobroić armię i wznieść nowe budowle na błotach Newy, gdzie rósł Sankt Petersburg. Dlatego Ałtasow zamiast do więzienia, pojechał jeszcze raz na Kamczatkę, by zbieraniem *jasaku* zgładzić winy. Ale w 1707 r. nie potrafił już zgromadzić tylu danin co przed 6 laty. Wówczas Itelmeni i Kurylcy dawali skórki soboli, lisów i bobrów jako dary dla cara, bo wyobrażali go sobie niczym boga, którego warto pozyskać w ten sposób, a teraz siłą zmuszano ich do daniny. Wśród miejscowej ludności rósł sprzeciw wobec wojska carskiego, zdarzały się napady na oddziały zbierające *jasak*, Kurylcy dwa razy zdobywali i burzyli ostróg Bolszerek. Sprzeciwiali się nie tylko tubylcy, ale i sami kozacy, a wśród nich młody Iwan Kozyriewski. Jako jedyny piśmienny był zagrożeniem dla Ałtasowa. Dlatego często siedział w lochu więziennym ze skutymi rękami i nogami. Wreszcie kozacy zbuntowali się przeciw bezwzględnemu Ałtasowowi, aresztowali go i wybrali nowego atamana. Ałtasow uciekł z aresztu w Wierchnekamczatsku i skrył się w Niżniekamczatsku. Buntownicy i tam go dosięgli i zabili. Zgładzili jeszcze dwóch innych poborców. Iwan Kozyriewski uczestniczył w buncie przeciw Ałtasowowi, ale podczas rozprawy przed kolejnym *prikazczikiem* Wasilijem Kolesowem nie udowodniono mu, że to on zabił Ałtasowa. Dlatego otrzymał karę pieniężną, lecz uniknął kary śmierci.

W sierpniu 1711 r. Iwan Kozyriewski i Danił Ancyfierow z oddziałem liczącym 33 kozaków wyruszyli z przylądka Łopatka łodziami na południe i dotarli do Szumszu – pierwszej z Wysp Kurylskich. Walczyli z tubylcami, ale wycofali się z braku amunicji. W kwietniu 1713 r. *esaul* (kapitan) Kozyriewski wraz z załogą: 55 kozaków, 11 Kamczadałów i 1 Japończyk *koczem* (statkiem żaglowo-wiosłowym) dopłynął do wyspy Paramuszyr. Stoczył zwycięską bitwę z Kurylcami i podporządkował ich swojej władzy. Rozmawiał na wyspie z japońskim kupcem, który przekazał mu informacje o innych wyspach i Japonii. Na tej podstawie sporządził mapę Kuryli i uzupełnił ją opisem mieszkańców. Zaznaczył 14 wysp. Była to najwcześniejsza mapa archipelagu. Ustalił, że Japończycy *dalej Hokkaido na północ nie chodzą* i zmusił mieszkańców do uznania władzy carskiej, prawosławia i dawania *jasaku*. W ten sposób podporządkował Wyspy Kurylskie Rosji. Kozyriewski odbył kilka wypraw po Kamczatce, rozbudował 3 ostrogi i nimi zarządzał. Rysował mapy i opisywał miejscowe ludy. W latach 1714-1715 pełnił obowiązki zarządcy Kamczatki i zbierał *jasak* z całego półwyspu.

W 1715 r. na Kamczatkę przyjechał kolejny *prikazczik* Aleksiej Pietriłowski. Wznowił rozprawę nad Kozyriewskim, zarzucając mu, że to on zabił Ałtasowa. W czasie tortur żądał jednak przede wszystkim wskazania, gdzie sądzony ukrył swoje bogactwa w postaci cennych skór. Uzyskał, co chciał. Musiał zwolnić podsądnego dopiero wtedy, gdy ten zgłosił chęć wstąpienia do zakonu. W ten sposób Iwan Kozyriewski, jak dziadek, w 1716 r. został mnichem o imieniu Ignacy. W 1718 r. sprawował nawet władzę duchowną nad całą Kamczatką. Zbudował Monaster Uspeński niedaleko Niżniekamczatska. Zebrał tam takich jak on byłych żołnierzy, zrujnowanych materialnie przez Pietriłowskiego. Mnisi zajęli się siewem jęczmienia i żyta oraz warzeniem soli. A Pietriłowski nie uniknął kary. Był później sądzony, skonfiskowano mu jego bogactwo na rzecz skarbu państwa.

Jeszcze raz wznowiono śledztwo przeciw Kozyriewskiemu w 1721 r. w Jakucku, po przewiezieniu go tam pod strażą. Zostało umorzono. Mnich Ignacy stał się budowniczym Monasteru Pokrowskiego koło Jakucka, potem budował Monaster Spaski w Tobolsku. Nawet jakiś czas zastępował archimandrytę Feofana. W 1726 r. Kozyriewski w Jakucku rozmawiał z Witusem Beringiem, który jechał z ekspedycją na Kamczatkę. Doradzał mu i podarował swoje mapy. Zrealizował jeszcze jedną wyprawę odkrywczą własną łodzią „Ewers” po Lenie do Oceanu Lodowatego (1728). Łódź uszkodzoną przez lody skonfiskowano. Próbował bez skutku wejść w skład kolejnej ekspedycji na Daleki Wschód.

Gdy Kozyriewski pojął, że drogę na Kamczatkę ma odciętą, pojechał do Moskwy (1730) do imperatrycy Anny Joannowny, by przedstawić jej raport o Kurylach. (Raport został wydany w Moskwie). Wysunął też propozycję, by zbudować na Kamczatce 3 cerkwie i uzyskał zgodę. Ale Kozyriewski pożałował się na metropolicę tobolskiego. Kancelaria carycy zażądała odpowiedzi, a metropolita Antoni wydał mnichowi Ignacemu taką opinię, że spowodowała ona kolejne dochodzenie w sprawie śmierci Ałtasowa. Mnich, torturowany w areszcie, poświadczył wszystko, co mu przedstawiono. Synod wykluczył Kozyriewskiego z zakonu. Senat zwrócił się o akta sądowe do władz w Niżniekamczatsku, Jakucku i Tobolsku. Iwan Kozyriewski, który objął Wyspy Kurylskie w posiadanie w imieniu cara, zmarł w carskim więzieniu w Moskwie 2 (13) grudnia 1734 r. Dokumenty, które w końcu przyszły z Syberii, potwierdziły, że był niewinny.

Imię badacza Kamczatki i Kuryli noszą: osiedle Kozyriewsk niedaleko Kluczewskiej Sopki, rzeka Kozyriewka (długa na 222 km) stanowiąca dopływ rzeki Kamczatki i pobliski górski Grzbiet Kozyriewski, a także zatoka i przylądek na wyspie Szumszu oraz przylądek i góra na wyspie Paramuszyr.

Janusz Fuksa

Beskidy bez śmigłowca

W całości niemal posłużę się informacją z Internetu (Onet.pl), bo nic tu dodać, nic ująć. Mieszkańcy Beskidu Żywieckiego, Śląskiego, Średniego i okolic, ratownicy medyczni i lekarze oraz turyści i ratownicy GOPR nie będą mogli liczyć na szybkie wsparcie w nieszczęściu Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, oto dlaczego:

Tymczasowa baza LPR na terenie Bielskiego Parku Technologicznego Lotnictwa, Przedsiębiorczości i Innowacji w Kaniowie została utworzona w grudniu ubiegłego roku. Miała obowiązywać przez rok. Samorządy z południa województwa śląskiego zabiegały, aby śmigłowiec pozostał w tej lokalizacji na dłużej. „W latach 90-tych ubiegłego wieku stacjonowały w Beskidach 2 helikoptery: w Szczyrku i Korbielowie. Śmigło miało kiedyś powrócić w góry. Pojawiła się naturalna okazja, ponieważ w Kaniowie powstało lotnisko wraz z infrastrukturą” – mówi starosta (pow. Bielsko-Biała) Płonka. Do wojewody, ministerstwa zdrowia i premiera

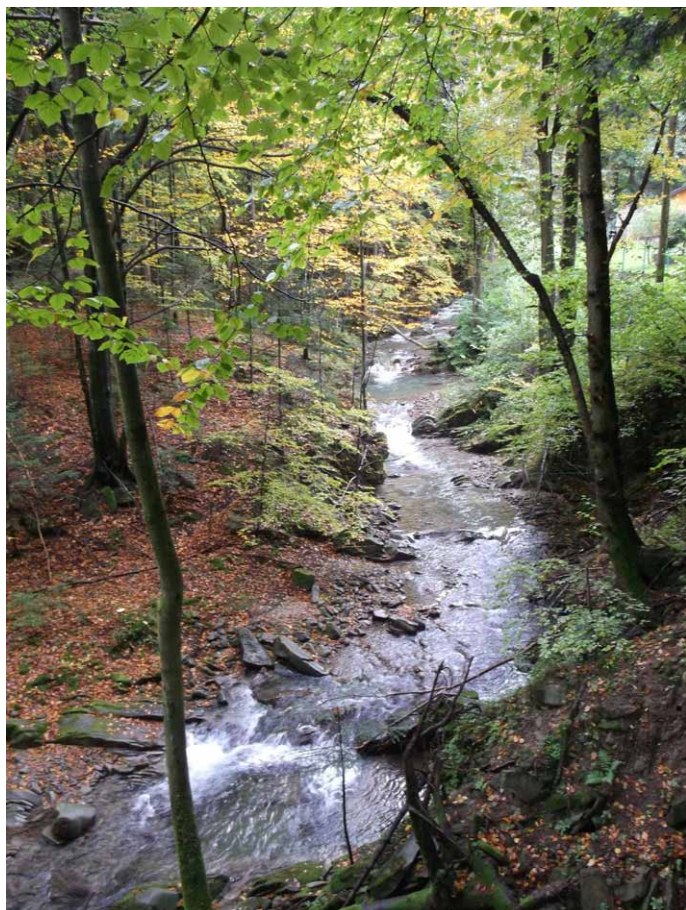


Tatry z Hali Łabowskiej

słano pisma w tej sprawie, samorządy z tego terenu podsyłały podejmowane uchwały. „Rozmawialiśmy z byłym ministrem zdrowia i z obecnym. Z przykrością dowiaduję się dzisiaj, że stanowisko LPR zostaje od jutra przeniesione do Katowic” – komentuje starosta Andrzej Płonka. Samorządowiec dodaje, że jeszcze wczoraj LPR pomagał Bielskiemu Pogotowiu Ratunkowemu. „Nasze karetki były zapchane ilością chorych, których w związku z pandemią koronawirusa i sytuacją w szpitalach nie było gdzie przekazać. I w takim czasie, w takich okolicznościach dowiaduję się, że śmigłowiec jest zabierany do Katowic” – ubolewa Andrzej Płonka. Zapowiada, że sprawa jest słuszna w związku z czym temat będzie nadal podejmowany w rozmowach z decydentami w Warszawie.

Tak to jest, gdy urzędnicy tzw. wysokiego szczebla są mądrzejsi od służb ratunkowych i samorządowców.

Juliusz Wysłouch



W Roztoce Ryterskiej

„Królowa. Lhotse ‘89”

4 października 1979 roku Jerzy Kukuczka rozpoczyna himalajską karierę, stając na szczycie swojego pierwszego ośmiotysięcznika – Lhotse. Dziesięć lat później, jako jeden z najsłynniejszych himalaistów na świecie i drugi po Reinholdzie Messnerze zdobywca Korony Himalajów i Karakorum, wraca pod ten sam szczyt. Próbuje osiągnąć coś wielkiego, coś czego nie dokonał wówczas nikt inny. Chce zdobyć Lhotse od południa – przechodząc legendarną południową ścianę. Ścianę, która zabiła tak wielu. Decydując się na tę wprawę, pomimo szeregu przeciwności i niepewności, w swoim dzienniku notuje: „Postanowiłem zrobić to tak, jak robiłem wielokrotnie, poszedłem za podszeptem czegoś wewnętrznego, teraz albo nigdy!”.

„Królowa” to kolejne wydawnictwo Fundacji Wielki Człowiek, drugie z serii „Z archiwum Jerzego Kukuczki”. Trzonem publikacji, powstającej z okazji 30. rocznicy śmierci himalaisty, jest jego dziennik spisany podczas wyprawy na Lhotse w 1989 roku. Integralnymi elementami historii są i tym razem archiwalia – fotografie, dokumenty, listy, ale też multimedia ukryte w kodach QR takie jak nagrania wideo i audio. „Królowa” to opowieść - podróż, która snuje się pomiędzy słowem, obrazem i dźwiękiem. To realistyczna, subiektywna ekspedycja, bez literackich upiększeń, w którą pragniemy zabrać czytelników.

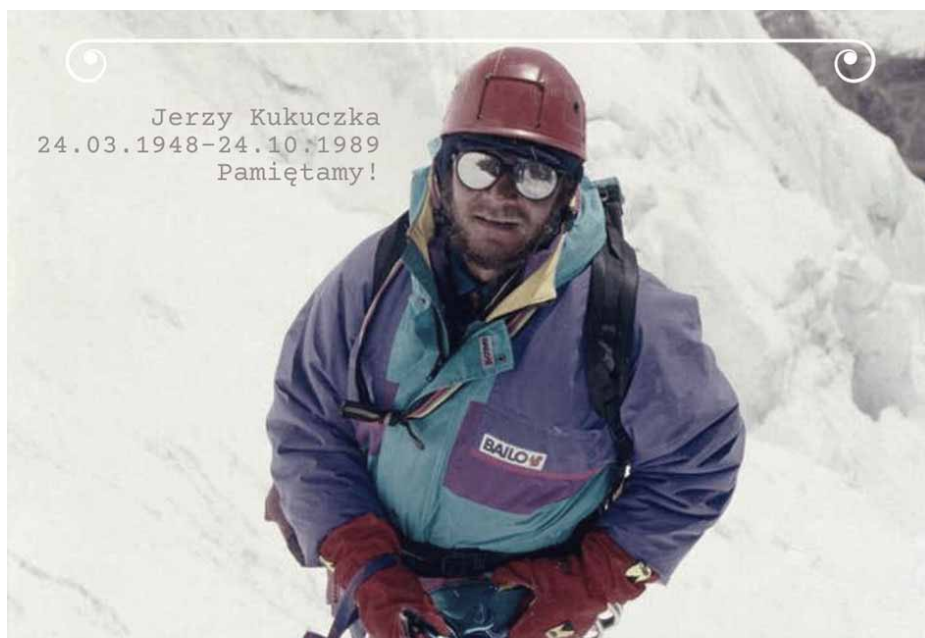
Dziwnie zaczyna mi się ta wyprawa. Myślałem o tej ścianie wielokrotnie. Pierwszy raz zobaczyłem ją na fotografii i Szymona Wdowiaka, która była planem wyprawy chyba właśnie na Lhotse 1974 r. Zdjęcie to pokazało się w druku w formie kalendarza. Patrzyłem na nie jak na ładny obrazek z ładną formacją ściany, ale tak odległą od rzeczywistości – możliwości, że mogłem ją odbierać tylko jako... ładny obrazek.

Jerzy Kukuczka, fragment dziennika

KRÓLOWA - WSTĘP

Jak oszacowali nasi archiwiści opracowujący zbiory Archiwum Jerzego Kukuczki, w trzech dużych szafach kryjących w sobie fotografie, dokumenty tekstowe, nagrania dźwiękowe i wideo oraz muzealia zmieściła się historia co najmniej 2853 osób. Z tego ogromu postaci, lokalizacji geograficznych i tematów skrywanych na niespełna 5 metrach bieżących dokumentów, 15 tys. fotografii, 76 nagraniach audio, 97 filmach i 700 muzealiach wyłania się bardzo bogata, zawiła i zaskakująca opowieść o Jerzym Kukuczce.

Dzienniki pozostawione przez Jerzego to surowe zapisy wypraw i przygotowań do ekspedycji. Komunikat, jaki otrzymuje niemal każdy czytelnik książki czy widz filmu o Jerzym, jest jasny – był to



Dziennik spisany podczas wyprawy na Lhotse w 1989 roku. Wyprawa zakończyła się niestety tragiczną śmiercią Jerzego Kukuczki.

małomówny, bardzo konkretny człowiek, który twardo dążył do wyznaczonego sobie celu. I zapewne jest to prawda. Jednak praca w Archiwum Jerzego Kukuczki – poznawanie zbiorów, materiałów – od lat ukazuje mi coś więcej. Z lakonicznych zapisków, szybkich notatek wyłania się również inny Jerzy. Człowiek, który pomimo ogromu przygotowań do wypraw i licznych spraw do załatwienia (na co wskazują regularnie przygotowywane listy z wypunktowanymi zadaniami na dany dzień), pamięta o tym, aby z Katmandu przywieźć żonie wymarzone kolczyki, a chłopcom kilka par butów, o które przecież będzie łatwiej w oddalonym o tysiące kilometrów Nepalu niż w Polsce lat 80. I takie elementy, choć oczywiście rzadkie, zaobserwujecie także w tym dzienniku.

Wydanie dziennika z ostatniej ekspedycji Kukuczki – wyprawy na południową ścianę Lhotse – wydało mi się oczywistym wyborem w związku z nadchodzącą trzydziestą rocznicą śmierci Jerzego. Śmierci, którą poniósł na swej pierwszej i ostatniej ośmiotysięcznej górze. Jak mawiają himalaiści, na górze marzeniu, największym wyzwaniu himalaizmu XX wieku. Jednak stworzenie spójnej opowieści, możliwej do zaprezentowania czytelnikowi, okazało się niełatwym zadaniem. Nie tylko ze względu na lakoniczność zapisów – Jerzy był z niej słynny – ale przede wszystkim ze względu na to, że tragiczna śmierć Kukuczki wpłynęła pustosząco i druzgocąco na wszystkich bliskich, przyjaciół, fanów i... niestety również na materiały pozostałe po tej ostatniej wspinaczce. To historia nagle urwana, niedokończona, pozostawiona w wiecznym zawieszeniu.

W uzupełnieniu luk tej opowieści pomocą stały się dodatkowe materiały – archiwalia, fotografie, artykuły prasowe, listy i wiele innych cennych dokumentów, zamieszczonych w tej publikacji. Równie istotne są multimedialne archiwalia, których nie sposób umieścić na kartach książki inaczej niż za pomocą kodów QR lub na dołączonej płycie. Zachęcam zatem gorąco do skanowania i sprawdzania tego, co kryje się w kodach lub do weryfikacji zawartości płyty, ponieważ *Królowa* to książka, która ponownie – podobnie jak *Ostatnia w Koronie* – wykracza daleko poza zadrukowane strony. I aby w pełni odbyć tę ostatnią podróż razem z Jerzym Kukuczka, musicie bez reszty zanurzyć się w historii z września i października 1989 roku. Do czego serdecznie Was zapraszam.

Katarzyna Ziolo – Redaktor książki

Książka dostępna jest na stronie: sklep.jerzykukuczka.com

„*Królowa. Lhotse '89*” Z Archiwum Jerzego Kukuczki, Tom II, Autor dziennika: Jerzy Kukuczka, Redaktor naczelny: Katarzyna Ziolo, Wydawca: Fundacja Wielki Człowiek, Data premiery: 6 września 2019.

Wydawnictwo dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz budżetu Miasta Katowice. Partnerem projektu jest Akademia Wychowania Fizycznego.

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Zofia Wiatrak**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wyslouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Piłk,
Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobsch, Mirosław J. Barański



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931